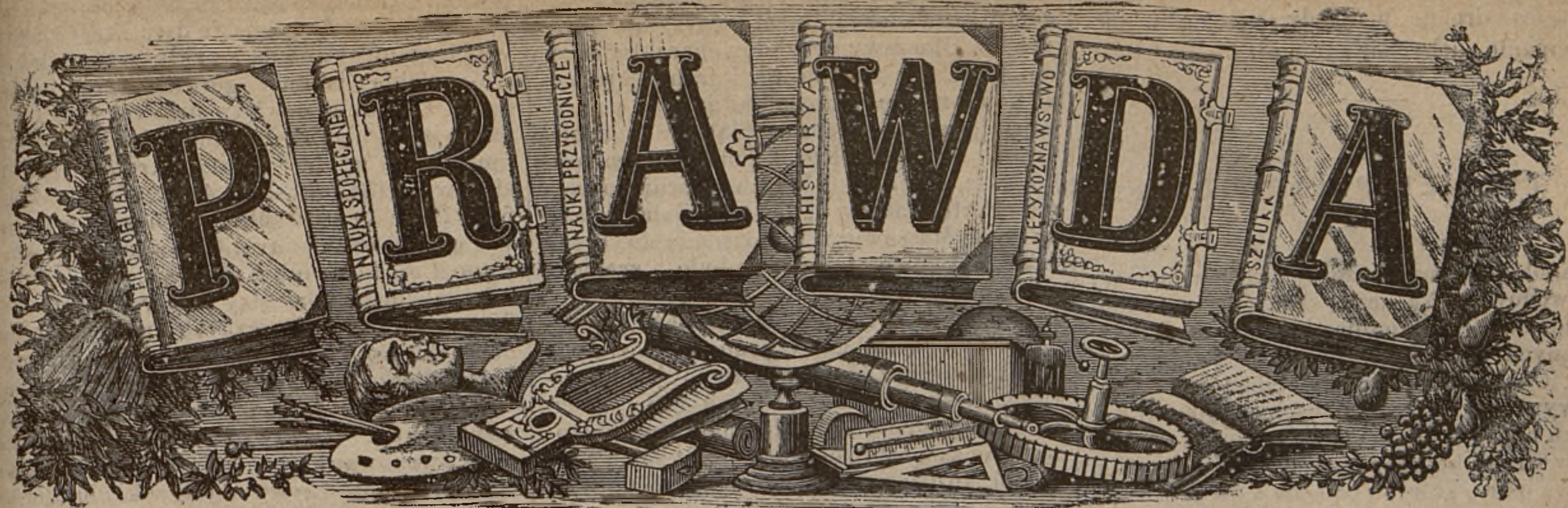
№ 36. Warszawa, dnia 8 Września (27 Sierpnia) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Abonentów kwartalnych prosimy o możliwie wczesne odnowienie przedpłaty dla uniknięcia opóźnień w wysyłce *Prawdy*.

POLITYKA.

NAJMITA UKARANY.

Kiedy w polityce nic się nie dzieje tak dalece, że bohaterami pierwszego planu prasy są pp. Crispi, Bennigsen i Boulanger, trzech jednookich paradujących między ślepymi, zwróćmy uwagę na obrazek polityczki małej, już przez to samo zajmujący, że bezpośrednio życia naszego dotyczy. Jak wiadomo czytelnikom, stańczycy krakowscy mają także swoich Pindterów i swoje „gadziny," między któremi rej wodzi *Czas*. Pismo to, obok apostołowania dogmatów *Teki* i prostowania ścieżek patryotyzmu austryackiego, trudni się „szlachetną denuncyacyą" i spotwarzaniem przeciwników, do których należą przedewszystkiem postępowcy i demokraci. A nie trzeba sądzić, ażeby tresowany indyk stańczykowski jątrzył się tylko widokiem jaskrawo czerwonej barwy tego żywiołu; bynajmniej, napada on każdy odcień, który nie jest kolorem szat jego panów lub liberyi ich służby. Kąsając jednem półgłowiem w Galicyi, przesuwa drugie po zagranicę i szarpie nieprzyjaciół w Królestwie. Naturalnie, cierpią od jego zębów głównie pięty t. z. „pozytywistów warszawskich." Nie sama trudność szybkiego dowiedzenia się o napaściach *Czasu*, ale także wzgarda dla jego broni i celów powstrzymuje nas często od odwetu nawet wtedy, gdy bezpośrednio ku nam mierzy. Dłuższa praca i dłuższa walka na polu publicystycznem wyrabia pewną obojętność na wszystkie oszczerstwa, przygryzki, niecne posądzenia i wogóle głosy, dla których nie ma się szacunku, tylko lekceważenie. Mimo całej swej nadętej powagi i lokajsko uroczystego tonu, *Czas* budzi w nas zwykle takie uczucie. Po prostu nie liczymy się z nim, bo niepodobna brać poważnie dziennikarskiego kamerdynerstwa, okazującego stale złą wiarę i złą wolę.

Warto wszakże od czasu do czasu rzucić światło na ten zacny organ dla odznaczenia w jego obliczu tych rysów, w których odbijają się moralne znamiona utrzymującej go partyi. Świeży wypadek daje nam dobrą ku temu sposobność. Na przedwyborczem zgromadzeniu w Gorlicach burmistrz miejscowy, p. Biechoński nakreślił program, odbiegający od stańczykowskiego szablonu i zabarwiony liberalizmem. Za to przestępstwo korespondenci bliźniąt prasy najmickiej w Krakowie i Lwowie odarli go ze skóry i sponiewierali z bezczelnością im właściwą. Pokrzywdzony przesłał sprostowanie kłamstw, którego redakcya *Czasu* — jak zwykle — umieścić nie chciała. Wytoczono jej proces: sąd skazał grzesznicę na 100 złr. kary i odwołanie oszczerstwa, nadto redaktora Kłobukowskiego za niestawiennictwo na 50 złr. Wyrok ten, wydany w Krakowie, gdzie stańczycy gospodarują jak w swoim folwarku, wskazuje do jakiego rozkiełznania doszła już ich gazeta, kiedy jej tak język przycięto. Przypuszczamy, że wzniosła ona oczy do swych panów z niemem, ale zrozumiałem pytaniem: czy już tu nie rządzicie? Przypuszczamy dalej, że oni w wyższej instancyi potrafią wpłynąć na złagodzenie kary; w każdym razie fakt to charakterystyczny, że nawet sąd krakowski czuje czasem nadmiar tej niecnoty. Niedawno czytaliśmy w dziennikach, iż jakiś przestępca skazany został za rozmaite czyny ogółem na sto kilkadziesiąt lat więzienia. Otóż gdyby *Czasowi* wszyscy przezeń spotwarzeni wytoczyli procesy przed sądami niepodległymi, z pewnością jego redaktor przez całe stulecie nie wyszedłby z kozy. Nie ma bowiem tak ciężkiego a kłamliwego zarzutu, którego by ten organ nie cisnął na przeciwnika lekką ręką bez namysłu i skrupułu. Tak przechwalana grzeczność i takt wielkich panów nie przeniknęły najsłabszym odblaskiem do ich służby, która przyprawia swe zaczepki i polemiki surową asafetydą dziennikarskich karczem. We Lwowie *Przegląd* a w Krakowie *Czas* nie przypominają niczem tego, że ma w nich objawiać się duch „dobrze wychowanych," albo też może „dobrze wychowani" grubiaństwo i potwarz zaliczają teraz do znamion swej wytworności. Co prawda bronią ich wzory, które zawsze naśladowali. Od czasu, jak arystokracya francuska i angielska w prasie i parlamentach posługuje się słownikiem przekupek, galicyjska nie potrzebuje być wybredniejszą. Ale jednocześnie powinna też być równouprawnioną z przekupkami wobec—sądu.

Mamy nadzieję, że przykład p. Biechońskiego ośmieli i zachęci innych do wejścia na tęż samą drogę dochodzenia swych krzywd. My możemy lekceważyć oszczerstwa najmity, bo ani on, ani jego rozkazodawcy nie posiadają u nas szerokiego i głębokiego wpływu. Inna sprawa w Galicyi, którą rządzą stańczycy. Tam należy przy każdej sposobności podejmować walkę zarówno z panami, jak ich dziennikarską służbą — walkę, która, niestety, nie jest tam prowadzona ani z dostateczną energią, ani z wytrwałością. Słyszymy ciągle, że zwycięztwo w niej niemożliwe, gdyż po za partyą stoi rząd. Niewątpliwie, ale ów rząd stoi za nią dlatego tylko, że ona posiada siłę w kraju, że on innej wcale nie widzi. Trzeba ją pozbawić wszechwładzy na miejscu, a rozpostarte z Wiednia nad nią skrzydło się zwinie. Na nieszczęście libe-

ralizm galicyjski pije piwo, je kiełbaski, urządza drobne podjazdy, ale na wielką kampanię zdobyć się nie umie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król Milan nie może wybrnąć ze sprawy rozwodowej. Na jego skargę żona odpowiedziała przedmiotowo bez obwinień wzajemnych. Oto jego zarzuty i jej tłomaczenie: *On*: Królowa przemawiała tonem obraźliwym przy osobach obcych a z gośćmi konaku obchodziła się niegrzecznie. *Ona*: Może w chwili podrażnienia padły z ust moich słowa ostre, których obecnie żałuję, ale wynikło to ze zranionych uczuć i czynów, które musiały głęboko dotknąć godność kobiecą. *On*: Królowa utrzymywała stosunki z moimi nieprzyjaciołmi. *Ona*: Nie byli to nieprzyjaciele króla, ale polityczni przewodnicy ministra Garaszanina, których zresztą sam król powoływał do rządów (Risticz, Gruicz, Stowacowicz). *On*: Królowa doradzała a nawet domagała się złożenia korony. *Ona*: Król sam był zdecydowany ją złożyć, a po wojnie z Bułgaryą, sądząc, że trwa w zamiarze, zalecałam mu ustanowienie regencyi na rzecz syna. *On*: Charaktery nasze były niezgodne a postępowanie królowej nie zawsze licowało z godnością kobiety. *Ona*: Pożycie nasze nie było szczęśliwem, ale starałam się być dobrą żoną i matką.

Odpowiedzi te chce król osłabić nowymi dowodami, popierającymi jego zarzuty. Prawdopodobnie dlatego konsystorz odroczył swe posiedzenia i wyrok. Natomiast królowa objawia podobno chęć do zgody — bardzo spóźnioną. W życiu zwykłych śmiertelników rozdział jest przejściem przez rów wąski, ale powrót — skokiem przez bardzo szeroki. Po takiem rozmazaniu się wszystkich szczegółów sprawy żadna siła, nawet najszczersza wola obustronna nie zdoła już związać tego, co się raz zerwało wobec całego świata.

Crispi i Boulanger ratują prasę polityczną od zupełnego głodu. Coraz bardziej utwierdza się przekonanie, że minister włoski dostał we Friedrichsruhe zimną kąpiel. Czy mu kanclerz niemiecki odradził tylko awanturę z Francyą, czy także odmówił ustępstw w podróży cesarza Wilhelma do Rzymu — nie wiadomo, ale jakiemś twardem i kwaśnem jabłkiem go przyjął. Sprawa też Massawy przybiera charakter łagodniejszy. Okręty włoskie i francuskie wysłane na morze z groźnemi minami powracają do portów i rozbrajają się. Z drugiej strony wszakże telegraf donosi, że ambasadorowie Niemiec i Włoch wywarli nacisk na Portę, ażeby „nie rozwijała dalszej akcyi w Massawie.“ Doniesienie to brzmi tak ogólnikowo, jak gdyby było... zrobione w redakcyi.

Boulanger wyjechał do Szwecyi. Wszędobylscy dziennikarscy jednak widzieli go w Hamburgu, a nawet niedaleko Friedrichsruhe. Jeśli nie chcą obarczyć go podejrzeniem, że jeździł do ks. Bismarka podziękować mu za życzliwość i zapewnić sobie jego pomoc, to niezawodnie widzieli stracha własnej wyobraźni. Wątpimy bowiem, ażeby nawet Boulanger odważył się na krok podobny i przypominamy, że tak samo kiedyś niedaleko folwarków kanclerskich spotykano Gambettę.

Podczas uzupełniających wyborów do sejmu galicyjskiego kandydaci rusińscy odnieśli porażkę. Wszędzie zwyciężyła szlachta polska.

W Gmunden bawiła Najjaśniejsza Cesarzowa ruska, którą odwiedził monarcha austryacki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

IV.

Szkolnictwo ludowe. — Szlachta i duchowieństwo.— Zestawienie. — Statystyka szkół parafialnych luterskich i prawosławnych. — Reforma. — Złudzenie.— Opinie prasy.— Opozycya. — Nieporozumienia i wyjaśnienia. — Zamknięcie seminaryów. — Organiści zamiast nauczycieli.

Wysoki rozwój szkolnictwa ludowego zawdzięczają prowincye nadbałtyckie instytucyom samorządu miejskiego i ziemiańskiego, jak również duchowieństwu luterskiemu i szlachcie. Ta ostatnia chętnie łożyła na ten cel, a wykształceni pastorowie zajęli się gorliwie opieką, niestety, nie bez pewnej domieszki dążności germańskich. Oprócz języków ludowych: estońskiego i łotewskiego, uczono także mowy niemieckiej. Pomijając szkoły miejskie dwu i trzyklasowe, uorganizowane na zwykły wzór, ludowe-wiejskie istniały głównie przy parafiach. O stanie oświaty ludowej świadczy fakt, iż w gubernii kurlandzkiej liczba nieumiejących czytać pośród rekrutów wynosiła w r. 1887 zaledwie 4%, a w estońskiej 5%. Dane te szczególnej nabierają wymowy, gdy je zestawimy z odpowiedniemi cyframi Cesarstwa lub Królestwa. Nic tu zresztą dziwnego: pomiędzy pastorem, kandydatem nauk teologicznych uniwersytetu dorpackiego, a naszym „duchownym“ partykularza — różnica wielka. Przytem w szkole parafialnej nauczycielem był zwykle tak zwany *knester*, zakrystyanin, wychowany w seminaryach nauczycielskich, dorównywujących zakładom średnim. Wreszcie prawodawstwo miejscowe naukę elementarną uczyniło obowiązkową. Temu zawdzięcza swój rozwój dziennikarstwo polityczne i religijne dla ludu, które, oczywiście, przyczynia się do znacznego wykształcenia uczuć obywatelskich. Statystyka z r. 1885 wykazywała szkół parafialnych luterskich w Estonii 541; uczęszczało do nich 35,999 dzieci; w Liflandyi — 1,095 szkół z 48,274 uczących się i 1,393 nauczających; w Kurlandyi — 378 szkół i 26,264 pobierających naukę. Razem przeto 2,014 szkół dających oświatę 110,537 dzieciom. Do tego dodajmy masę szkół miejskich, oraz parafialne prawosławne, których liczba, ostatnio znacznie zwiększona, r. 1885 w jednej Liflandyi wynosiła 379 z 12,338 uczniów i uczennic. Na tak mały i stosunkowo nieludny kraj to dość! Szkoły pierwszej kategoryi uległy już zupełnej reformie. A więc przedewszystkiem wyzwolono je z pod wpływu duchowieństwa luterskiego, oddając pod zarząd osobnej inspekcyi i ministeryum oświaty; dalej, w myśl zapatrywań p. kuratora, iż „szkoła jako dziecię państwa winna mówić jednym z niem językiem, jednakie mieć uczucia i dążności,“ zamiast dawnego wykładu łotewskiego i estońskiego z dodatkiem niemczyzny, wprowadzono ruski; ludowej mowie przyznano rolę języka pomocniczego oraz przyznano go nauce religii. Taki obrót rzeczy nie leżał w kole przypuszczeń, domagającej się reformy, inteligencyi łotewsko-estońskiej. Jej pragnienia, nadzieje co do szkoły narodowej, uwzględniającej częściowo tylko język państwowy, prysnęły. Nie potrzebujemy chyba mówić o tem, iż mężowie „opinii“ zdradzili tutaj wiele nierozsądku,

---

PONAD CHMURAMI

przez

Guy de Maupassanta.

Gdy wszedłem do fabryki w Villette, spostrzegłem leżący na murawie pośród dziedzińca, przed zastępami czarnych i potwornych dzwonów z gazem, olbrzymi balon żółty, prawie już wydęty, podobny do dyni kolosalnej, pchniętej między gazometry na trzon kominowy cyklopa.

Długa rura z płótna pokostowanego, podobna także do owej małej szypułki skręconej, przez którą dynie czerpią z ziemi zasoby życia, wprowadzała do *Horli* duszę łodzi powietrznej. Drgał statek i wznosił się powoli, a dwunastu ludzi, pomagając jego wrostowi, przerzucało co sekunda z miejsca na miejsce zawieszone na sznurze worki balastu.

Niebo nizkie i szare, ciężka chmur powała rozciągała się nad naszemi głowami. Było to wpół do piątej wieczorem, a noc już zdawała się nam grozić.

Ciekawi i przyjaciele napełnili fabrykę. Dziwiąc się, rozważano szczupłość łódki, papier, naklejony na nieznacznych szparkach balonu, wszystkie zresztą przygotowania do tej wycieczki w przestworze.

Mniemano jeszcze, że wzlot balonem w powietrze wystawia podróżników na wielkie niebezpieczeństwa, gdy jest on w tym samym stopniu, a może jeszcze mniej groźny, niż zwykła przejażdżka po morzu, lub fiakrem po ziemi. Gdy statek jest dobry, aeronauci, jakimi są pp. Jovis i Mallet, roztropni i biegli, można przedsięwziąć wycieczkę w sfery obłoczne z rzetelniejszym spokojem umysłu, niż gdy się wybieramy do Ameryki, co przecież wyobraźni naszej tak bardzo nie przeraża.

Czterech ludzi szuka łódki, wielkiego kosza kwadratowego, dość podobnego do nowych skrzynek podróżnych z łoziny pleciecionej. Na dwu obliczach tego lotnego wehikułu błyszczy złoty napis, na cienkiej płycie drewnianej: *Horla*. Wiążą ją pod balonem pojmanym, który unosi swój balast wraz z gromadą ludzi, uczepioną na sznurze; następnie wstawiają kosz z zapasami żywności, kosz z drobnymi sprzętami i narzędzia: dwa zwyczajne barometry, jeden barometrograf, dwa ciepłomierze, jedną lunetę marynarską.

Wszystko jest gotowe. Grono przyjaciół otacza kołem, i podróżnicy, używając krzesła za stopień wchodowy, wdzierają się na krawędź łódki, potem wskakują do wnętrza. P. Mallet wspina się śród koła nad naszemi głowami, pod dodatkową część balonu z wązkim otworem, przez który ujdzie zbytek gazu, gdy napotkamy warstwy górętszego powietrza.

P. Jovis, aeronauta, oblicza teraz siłę podnoszenia się, aby prawidłowo odbić od ziemi. Wyprózniają jeden wór balastu; ręce ludzkie, zaczepione o krawędzie łódki, usuwają się nieco i czujemy, jak nas zwolna gaz unosi; potem jesteśmy znów zatrzymani, jakoby przez wszystkie te palce, chwytające się brzegów balonowej gondoli, wreszcie puszczeni, gdy jeden jeszcze wór z piaskiem został wyrzucony.

Jakiś zastępca kierownika statku, należący do składu osobowego szkoły aerostatyki wojennej w Meudon, przybywszy, aby oglądać wzniesienie się balonu, chciał nam odjazd ułatwić. Ściska on w obu dłoniach powróz, utrzymujący nas przy ziemi, aż nakoniec Jovis wydaje okrzyk: „Puść pan całkiem.“

Nagle wielkie koło przyjaciół, zamykające nas i gwarzące z nami, jasne szaty, wyciągnięte ramiona, kapelusze czarne — zachodzą w głąb i znikają: nic, oprócz powietrza — odjechaliśmy, ulatujemy.

Już unosimy się nad olbrzymiem miastem, nad niezmiernym planem Paryża, po-

przypuszczając że tęczowa tkanina ich urojeń będzie czemś innem, jak pajęczyną, którą pierwszy podmuch logicznych, konsekwentnych, ogólno-państwowych dążeń administracyi w bezwartościowe rozproszy strzępki. Tymczasem zawód z całej prasy ludowej wydobył dźwięki pesymistyczne. Oto słowa estońskiej *Wirulane*: „Reforma polega w tem, że w łotewskich i estońskich szkołach ludowych zamiast ojczystego, wykładowym będzie język państwowy. Jeśli lud chce, ażeby młode pokolenia obecnie umiały chociażby czytać po swojemu, to musi ich w domu uczyć języka rodzinnego.“ Jeden tylko *Walgus* jest konsekwentnym i bezwzględnie cieszy się ze „spełnienia życzeń narodu estońskiego;“ mniema on, że „do szkoły wyłącznie estońskiej nie poślą estowie swej dziatwy, pragną bowiem zbliżenia z narodem ruskim, posiadania jego kultury, a najlepszą rękojmią ziszczenia tych pożądań jest znajomość gruntowna języka ruskiego.“ Oto, co mówi, przy sposobności niezatwierdzenia pierwotnego programu szkoły aleksandrowskiej estońskiej, wzmiankowane *Wirulane*: „Rozumie się, że prawdziwem naszem życzeniem, jak zresztą ogółu rozumnych poddanych państwa, jest to, aby w każdej szkole tutejszej dokładnie zapoznawano się z językiem państwowym. Jest to koniecznem dla wykształconych synów narodu, aby byli zdolnymi objąć posady rządowe i wzmocnili się w życiu państwowem. Ale ani jednemu prawdziwemu estowi nie może być nieprzyjemnem, jeśli w szkole, założonej kosztem estów, język narodowy estoński będzie się niejako czuł u siebie w domu, tj. będzie się rozwijał i stał wysoko. Myśl, że w szkołach ludowych przystoi narodowemu językowi rola wykładowego, chociażby przy tem jaknajobszerniej uczono także i innego pożytecznego języka, nie jest pozbawioną podstawy i korzyści.“

Prasa ruska z rzadką energią podniosła miecz przeciw jarzmu niemieckiemu, gnębiącemu narodowość, przeciwdziałającemu ideałom ludów nadbałtyckich. Łotyszom i estom stawia do wyboru: albo „germanizacyę, albo zadośćuczynienie swej duchowej i materyalnej potrzebie za pośrednictwem ścisłego zlania się z narodem ruskim. Pewne postępowe pismo niemieckie zapytuje: co pozostaje dla dążeń łotyszów ku ochronie swego języka i swej narodowości, jak pogodzić powyższe *ultimatum* z dbałością o samoistność ludu, tak często wyjawianą, kiedy szło o przywileje niemców.

Bądź co bądź, w pierwszej chwili reforma najmniej pożądana, wywarła skutki. Konwenty kościelne, zarządy miejskie, samorząd szlachecki, pojedyncze osoby wreszcie odmówiły szkole poparcia, zamykały ją, gdzie mogły. W *Deenas Lapa* i w całej prasie głośno rozległa się nieznana dotychczas skarga na brak przybytków nauki.

Ma się rozumieć, że tego rodzaju postępowanie musiało natychmiast wywołać odpór. P. gubernator liflandzki ogłosił okólnik, w którym twierdzi, iż ukaz, oddający szkołę ministeryum oświaty, zarazem oddaje dotychczasową kościelną własność: gmach, ziemię i sprzęty szkolne. Dalej tłomaczy o obowiązku utrzymywania szkół przez gminy, wreszcie „ponieważ wyższa władza dowiedziała się o podmawianiu do podpisywania postanowień o zamknięciu szkół, czuję się obowiązanym wyjaśnić ludowi, a szczególniej włościańskim delegatom w konwentach kościelnych, że nowe prawa mają na celu rozwój i rozszerzenie szkół ludowych, że więc dlatego członkowie-włościanie, dla których drogimi są interesy ojczyzny, niepowinni podpisywać konwentów i słuchać insynuacyi ludzi źle myślących. Podmawiając ludność do podobnych czynów niepatryotycznych, ludzie ci przynoszą szkodę krajowi i pozbawiają ludność możności odpowiedniego wykształcenia swej dziatwy.“ W parę miesięcy później z kancelaryi p. kuratora nadesłanym został umyślnie redakcyom pism nowy okólnik, starający się wyjaśnić „przykre zajścia“ prostem „nieporozumieniem.“ Przyczyna nieporozumienia polega w tem, że czytano pomiędzy wierszami prawa majowego rzeczy, o których się prawodawcom nie śniło. „Nieporozumieniem“ jest, jakoby rząd usunął szkołę z pod wpływu kościoła; odjęto tylko pastorom zwierzchność nad nią, pozostawiając im dozór nad nauką religii. Szkoły i nadal dzielą się na prawosławne, luterskie i katolickie, przyczem nauczyciele winni być odpowiedniego wyznania. Ministeryum nigdy nie miało zamiaru „poddawać szkole myśl propagandy religijnej, albo gwałcić sumienie uczących się lub ich rodziców“. „Nieporozumieniem“ jest, iż wprowadzenie do zarządu szkół urzędowych delegatów o decydującym głosie miałoby łamać przywileje samorządu. „Społeczeństwo, dopomagające państwu do osiągnięcia jego dążeń kulturalnych, twierdzi p. Kapustin, i korzystające w tym celu z samorządu, jest zbiorowym urzędnikiem i podlega stałej kontroli ze strony państwa.“ Zresztą nie należy przypuszczać niezgody między rządowym inspektorem a członkami kolegium z wyboru, bo mają oni wspólny, jednoczący ich cel—rozwój szkolnictwa krajowego. W razie ostatecznym „nie należy sądzić, aby dyrektor szkół ludowych za każdym razem podzielał zdanie inspektora, a kurator zdanie dyrektora.“

A. Rosset.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGIA

(GUMPŁOWICZA).

II.

Zaczniemy od rozpatrzenia najsłabszej części wywodów p. Gumplowicza. Świat społeczny, jego zdaniem, stanowi jedynie cząstkę materyalnego, jest „mięsem z jego mięsa, kością z jego kości;“ procesy dziejowe są jedynie szczególną postacią ogólnie przyrodniczych. Ale to mu nie wystarcza, gdyż póki — rozumuje on—nie uda się wykazać, na czem owa przyrodniczość polega, póty wszystko będzie tylko subjektywnem mniemaniem i bez większej wartości nad wszelki artykuł wiary. Ażeby więc socyologia mogła być nauką ścisłą, należałoby uprzednio dowieść, iż tą sferą zjawisk rządzą te same prawa, co i wszelkiemi innemi dziedzinami natury. Zjawiska społeczne polegają na mnogości uczestników. Lecz przecie takiż stan przedstawiają wszelkie procesy przyrody, gdzie pewna liczba niezależnych jednostek wchodzi w scalkowaną gromadę, i, jak wykazały poszukiwania filozoficzno-przyrodnicze Haeckla, Jägera, Espinasa i in. — dzieje fylogenetyczne tego rodzaju ustrojów, jak stawowate robaki, kolonie jestestw jednokomórkowych i polipów, przedstawiają pewne prawa, wspólne powstawaniu pożycia gromadzkiego wśród zwierząt, niemogących zatracić swej odrębnej, biologicznej indywidualności (np. wśród dwunożnych ssaków, zwanych ludźmi). Zbadanie tej równoległości stanowi ponickąd wstęp do socyologii ludzkości, i samo społeczeństwa można rozpatrywać jako dalszy wynik rozwoju organicznego (tj. całkowania jestestw jednokomórkowych). Nie-

---

dobniuteńkim do wypukłych planów wystawowych — z dachami błękitnymi, prostemi i krętemi ulicami, szarą rzeką, pomnikami śpiczastymi, złoconą kopułą Inwalidów, a dalej — nieskończoną jeszcze dzwonicą kościoła Notre-Dame de la Chaudronnerie i wieżą Eiffel.

Nachyleni nad krawędzią łódki, widzimy na dziedzińcu fabrycznym gromadę małych mężczyzn i małych kobiet, poruszających rękami, kapeluszami, chustkami białemi. Wszyscy oni jednak są tak mali, tak oddaleni, takimi wydają się owadami, iż trudno pojąć, że się ich porzuciło w tej chwili, przed ośmiu czy dziesięciu sekundami.

— Patrzcie, moje dzieci — woła Jovis, pełen entuzyazmu — czy to nie piękne?

Szum jakiś niezmierny wzbija się ku nam, szum, powstały z tysiąca łoskotów, z całego życia wszystkich ulic, turkotu jadących po bruku powozów, rżenia koni, trzaskania biczów, głosów ludzkich, warkotu pociągów. Panujące nad całym chaosem pomieszanych tonów — blizkie, czy dalekie, ostre, czy grube — świsty lokomotyw rozdzierają, zda się, powietrze, tak są drgające i czyste. Oto równina, dokoło miasta rozpostarta, płaszczyzna zielona, którą przecinają białe, proste, pokrzyżowane w różny sposób, niezliczone drogi. Lecz nagle szczegóły ziemskie, tak dotąd jasne, mącą się cokolwiek, jakby je zlekka zatarto; potem posępnieją za niedostrzegalnymi niemal kłębami pary; następnie pomieszane zupełnie i skłócone, nikną niemal z przed naszych oczu. Przenikamy do regionu chmur.

Zrazu otacza nas jakaś zasłona, lekka i przejrzysta. Później gęstnieje ona, staje się szarą, nieprzezroczystą, ujmuje nas w swe kluby, więzi, zamyka i ściska. Ale niebawem ta ściana mgły wilgotnej a ponurej wypogadza się, bieleje, wyjaśnia. Przemykamy się teraz niby przez watę lotną, parę mleczną, lug srebrzysty. Z każdą sekundą światło olśniewające, czarodziejskie, idące z góry, opromienia coraz bardziej fale białe, przez jakie się przebijamy; i nagle, w okamgnieniu wyłaniamy się z objęć chmur w niebo błękitne, jaśniejące od słońca.

Żaden szał nie może stworzyć marzenia, podobnego widokowi, jakiśmy oglądali. Mknięmy, wznosząc się ciągle, ponad nieograniczonym zamętem chmur, mających postać śniegów. Ciągną się one w dal bez końca — fantastyczne, niepojęte, nadnaturalne. Roztaczają się te śniegi o dziwnie rażącym blasku w różnych pod nami kierunkach. Tworzą one płaszczyzny i wzgórza, cyple i doliny. Formy tego nowego wszechświata, tej krainy zaczarowanej, którą tylko z nieba widzieć można, są na ziemi nieznane. Widać tam całe obszary baniek, strzał, wieżyc kryształowych, oceany fal wijących się, wzdymających, nieruchomych i burzliwych, których piana blaskiem swym oczy olśniewa — przepaści fioletowe, wyżłobione ponożej przez chmury i wzgórza nieprawdopodobne, co wznoszą w przestwór nieskończony swe grzbiety potworne o blasku, głowę o zawrot przyprawiającym.

Lecz nagle, w pobliżu nas — blisko zresztą, czy daleko, trudnoby było na pewno powiedzieć, bo nie ma się tu pojęcia o odległościach — ukazuje się, na tle powietrza kryształowego, jakaś skaza przezroczysta, wielka, okrągła, która kołysze się i wznosi — jakiś balon, i znowu balon, z łódką, sztandarem i podróżnikami. Podnoszę ramię i widzę, jak jeden z pasażerów tego zjawienia również ramię podnosi. Chmury i widnokrąg niezmierny — z tym cieniem w żadnym zda się nie zostają związku, a dokoła niego zarysowuje się szeroka tęcza, która go zamyka w jakąś koronę świetlną a różnobarwną. Realniejszy od okrętu-widma, znanego pływającym po morzu żeglarzom, to widmo balonu towarzyszy nam po przez drogę śród przestworu, ponad niezgraniczoną chmur pustynią; otoczone świetną aureolą, zdaje się być wykładnikiem apoteozy żeglarzów powietrznych. Zjawisko to, dobrze zresztą znane, nosi nazwę „aureoli aeronautów.“

którzy wszakże badacze, zapominając, że pewna równoległość w rozwoju nie stanowi jeszcze tożsamości, porównali społeczeństwo dosłownie z organizmem — myśl, doprowadzona do potworności przez Lilienfelda. Z drugiej strony, w miarę udoskonalania się skupień osobników niezależnych, rozwija się odpowiedni zbiór stanów subjektywnych. Znaleźli się znów uczeni, którzy usiłowali tę atmosferę ideową podnieść do pierwszorzędnej wagi i badać socyologię ze stanowiska psychologicznego. W ten sposób starano się ją uczynić już szczególnym rozdziałem biologii, już— psychologii. Słusznie p. G. występuje przeciw tym roszczeniom, jakkolwiek zupełnie niepotrzebnie lekceważy znaczenie danych, zwłaszcza biologicznych. Chociaż bowiem teorya „organizmu społecznego" nie posiada naukowej podstawy, nie wynika stąd jeszcze, iżby pomiędzy prawami całkowania skupień komórkowych w organizmy osobnikowe a dalszem układaniem się tych ostatnich w gromady społeczne nie istniały punkty styczne, dające się z korzyścią wyzyskać dla nauki, jak to widzimy chociażby z prac Espinasa. Tymczasem p. G. z socyologii wykreśla, że tak powiem, socyologię kojarzeń drobnowidzowych, a w ciągu dalszym socyologię gromad zwierzęcych, z których pewne nietylko przeprowadziły dokładny podział pracy i utrwaliły wiadome formy rodziny, lecz jeszcze pomiędzy sobą a przyrodą umieściły cały zasób technicznych budowli i materyalnych bogactw *); w ten sposób swe poszukiwania rozpoczyna on od wzajemnego oddziaływania hord pierwotnych.

Wracamy wszakże do przerwanego wątku. Zjawiska społeczne są odrębne od psychicznych i biologicznych. Idzie teraz o wykazanie praw, rządzących niemi a wspólnych i reszcie wszechświata. Sądzilibyśmy, że jest to rzeczą podrzędną, skoro już raz dowiedziono jedności natury w obrębie objawów psychiczno-biologicznych. Jeżeli bowiem osobnik organiczny (np. człowiek) w swych wyjawach życiowych i duchowych przedstawia jedynie powiązanie mechaniczne przyczyn i skutków, już z tego wypływa, że wszystkie zdarzenia, wynikające z nagromadzenia takich osobników, nie mogą być dziełem żadnych postaci mitycznych lub sił nadprzyrodzonych. Następnie, mniemamy, iż przeciwnicy powinniby wyszukiwać dowody na nieistnienie jedności w przyrodzie, jako stronie niemającej za sobą rusztowania naukowego w pojmowaniu wszechświata i zasady „dostatecznej przyczyny." Wreszcie istnieją dowody przyczynowego powiązania zjawisk społecznych w szczupłych danych statystyki, która niewiele wprawdzie zdziałała dla wytłomaczenia objawów społecznych, lecz jedno nie da się zaprzeczyć: oto dowiodła, iż przy stałym układzie warunków przejawy nawet tak „dowolnych" czynów, jak samobójstwo, wahają się stale około pewnej normy. Wszelkie inne dowody muszą z konieczności być niewiele mówiącemi uogólnieniami. Właśnie i podane przez p. G. „prawa" nie wyłamują się z pod tego zarzutu, wyjąwszy przyczyniowość. Owe prawa prawidłowości rozwoju, skomplikowania itd. wyrzuca on Spencerowi. Niektóre z pośród nich, jak peryodyczność i stałość sił, grają ogromną rolę w filozofii społecznej p. G., zwłaszcza w pesymistycznem zabarwieniu jego poglądów, jak to niżej zobaczymy.

Lecz najważniejszym dowodem monizmu, lubo niewypowiedzianym w poprzednich uogólnieniach, jest twierdzenie, jakoby we wszystkich zjawiskach przyrody winny w grę wchodzić składniki różnorodne. Dochodzi p. G. do tego drogą, nie powiem, indukcyjnego, lecz analogicznego wnioskowania. Otóż wśród świata astronomicznego (dodałbym: obecnego) widzimy oddziaływanie globów kosmicznych, wśród chemicznego—pierwiastków, itd. ze stałemi siłami: ciążenia, powinowactwa chemicznego itd. Jeżeli więc te warunki spotykamy w procesach przyrodzonych, muszą być one z konieczności obecnymi — wnioskuje p. G. — i w społecznych, jeżeli mamy je uważać za naturalne. Tymi żywiołami różnorodnymi nie są wszakże jednostki, lecz grupy. W ten sposób syngenizm stanowi zasadę rządzącą w dziejach. Grupy są dźwignią historyi, ich tendencye stanowią o kierunku rozwoju; co zaś do jednostek, są one tylko wypowiadaczami potrzeb grupowych. Syngenizm w dziedzinie zjawisk społecznych ukazuje się w różnych postaciach, lecz, ażeby zjawiska społeczne uchodziły za przyrodzone, należy przyjąć, że istniał już od początku. A przeto i założenie wieloliczebności pierwotnych hord ludzkich (i w ciągu dalszym wielopochodności) stanowi w *Systemie socyologii* nietylko fakt wielkiej wagi, jako zjawisko istotne i rzeczywiste, lecz jeszcze posiada także znaczenie metodologiczne. Słowem, z rzuconych tu i owdzie uwag (zwłaszcza na str. 143) wydawałoby się, iż p. G. istnienie takich różnorodnych już od początku grup uważa za jeden z niezbędnych warunków dla zaliczenia procesów socyologicznych do naturalnych. Zająłby więc dobrowolnie dość niewygodne stanowisko. Zanadto jest widocznem, iż nawet gdyby „ludzkość" rozwijała się z jednej pary i nigdy nie doczekała rozpadnięcia się na wrogie hordy, wtedy nawet zjawiska społeczne nie przestałyby istnieć, ani być przyrodzonemi. Naprzód, dla reprodukcyi zużytych tkanek organizmu, ludzie musieliby odpowiednio przetwarzać surowce przyrody i wyłoniliby wiadome stosunki własnościowe we względzie władania siłami przyrody (ziemia, kopalnie; w ciągu dalszym zakrzepła praca zmarłych pokoleń); następnie, w interesie reprodukcyi własnego gatunku należałoby ukształtować też stosunki rodzenia i wychowania potomstwa. Zjawiska, polegające na mnogości osobników, istniałyby, jak istnieją w odrębnej hordzie bobrów lub gromadzie ós *). Winnismy tedy wieloliczność pierwotnych hord oraz zasadę syngenistyczną przyjąć za to, czem one są w istocie rzeczy: faktami realnymi, w których socyologia ludzkości świat ujrzała i dotychczas się porusza (zresztą nie w całości, bo są zjawiska po za ich obrębem, jak np. wewnętrzne ukształtowanie gromadzkie hordy pierwotnej), lecz najzupełniej obojętnymi ze względów metodologicznych. Proces społeczny nie przestałby być naturalnym bez względu, czy ludzkość wyszłaby z jednej lub z wielu par. I właśnie to kładzenie nacisku na metodologiczne znaczenie wielopochodności stanowi jedną z najsłabszych stron wywodów p. G.

*) Zwykle stawia się za wzór mrowiska lub ule. Idąc za studyami socyologicznemi Morgana nad światem zwierzęcym, postawilibym bobry. Patrz jego prace: *Bóbr a jego dzieła* (Morgan: *The beaver and his works*, 1868).

*) Że istnienie pierwotnych hord nie jest warunkiem metodologicznym, możnaby wnioskować z przykładów samego p. G. Jako treść zjawisk społecznych przytacza on w *Walce ras* oddziaływanie pyłku męzkiego na żeński, w *Socyologii* — czerpanie sił spożywczych z przyrody. Mielibyśmy więc zupełne podobieństwo do stanu hypotetycznego, o którym mówiliśmy.

WYNALAZKI.

Nematolit. Nazwą tą określamy nową materyę, wprowadzoną do masy papierowej. Odda

---

Cień, rzucony przez balon na chmury sąsiednio, tłomaczy dobrze to zachwycające zjawisko; ale na wyjaśnienie tęczy, która je otacza, wiele spłodzono teoryj.

Najprawdopodobniejszą jest następna.

Materya, z której zrobiony jest balon, pomimo jakości tkaniny i pokostu, przepuszcza przez siebie gaz, wewnątrz zamknięty. Stała zatem utrata gazu odbywa się po przez całą rozciągłość pokrowca, i wytwarza dokoła aerostatu lekką warstwę wilgoci. Słońce, przenikając ten ług, wywołuje kolory pryzmatowe, jak w cienkim deszczu wodospadów, i rzuca je pod postacią korony, w kierunku cienia balonu, na najbliższą chmurę. Skoro zaś ciągle się wznosimy, to widmo mgławe, przestaje wnet za nami postępować i z każdą sekundą coraz mniejsze, w miarę, jak wzlatujemy, zostaje pod nami, bujając na fali białych obłoków. Ukośne promienie słońca rzucają je daleko, tam na dół, na dół, gdzie ono wtóruje wszystkim ruchom naszym, podobne teraz do upadłej piłki dziecięcia, która toczy się, błąka, śród burzliwego pustkowia śnieżystego.

Im wyżej wzlatujemy, tem silniejszem wydaje się gorąco, a załamanie światła na owym obszarze lśniącym wzrasta ku podziwowi naszemu, coraz świetniejsze i jaskrawsze. Termometr pokazuje 26 stopni, podczas gdy mieliśmy go tylko 13 na powierzchni ziemi, a balon, rozszerzony, pozwala ujść dolnym otworem kłębowi gazu, który dymem rozlewa się w powietrzu.

Przebiegliśmy dwa tysiące metrów, wznosimy się więc do tysiąca pięciuset blisko metrów ponad chmury i nie widzimy nic zgoła, krom fal srebrzystych bez granic, pod niezmiernym nieba lazurem.

Tu i owdzie głębie fioletowe, przepaści, których dna nie widać. Płyniemy powoli, popychani lekkim wiatru powiewem, nie czując go zgoła, ku jednej z tych szczelin czarownych. Możnaby powiedzieć, patrząc z oddali, że jakiś lodowaty szczyt góry zapadł się w otchłań bez granic, pozostawiając między dwoma grzbietami rozpadlinę niezmierną.

Biorę lunetę, by zbadać niebieskawą wklęsłość otchłani i spostrzegam na dnie... krawędź łąki, dwie drogi, wieś wielką. Wkrótce ponad tem będziemy. Oto barany na polu, krowy, pojazdy. Jakże to wszystko dalekie, drobne, nieznaczne! Lecz chmury, błyszczące pod nami, zamykają znów w okamgnieniu to okienko, w suficie burz otwarte.

Mallet powtarza teraz co chwila: „Balast rzucajcie, balast." Zaklęsły, przez rozszerzanie się gazu i oziębiony, wskutek bliskości wieczoru, balon spada, jak kamień. Dokoła nas świstki bibułkowe z papierosów, rzucane bezustannie, w celu rozpoznania, czy się wznosimy, czy opadamy, bujają w powietrzu, niby białe motyle. Jestto najlepszy sposób sprawdzenia, co się dzieje z balonem. Gdy się wzbija, bibułka z papierosa idzie na dół; gdy się obniża, drobny świstek leci ku niebu.

— Balast rzucać, balast!

Wypróżniamy garściami, jeden przez drugiego, wory napełnione piaskiem, który się rozsypuje pod nami deszczem płowym, złoconym przez słońce. *Horla* ciągle opada i widzimy pojawiające się znowu tuż przy nas, jakby przybywało na nasze spotkanie, gdy nie mogło za nami podążyć, widmo balonu w swej aureoli.

Teraz morze chmur już zlekka muskamy, a łódka nasza macza jakoby swą powierzchnię w pianie fal, które się dokoła ulatniają.

Oto znów szczeliny, przez które spostrzegamy ziemię — jakiś zamek, stary kościół, drogi i pola zielone.

Dzięki rzucaniu balastu, opóźniliśmy upadek; lecz balon, sflaczały i miękki, ma pozór łachmana z żółtego płótna i chudnie w oczach, pochwycony chłodem pary powietrznej, który sprowadza nagle zgęszczenie gazu. Znowu wchodzimy w chmury, w mglistych toniemy falach. Hałasy ze

ona, jak się zdaje, ważne usługi przemysłowi, zastępując zarazem gips i kaolin.

Nematolit, powiada *Journal des fabricants de papier*, zawiera w sobie 95—96% krzemianu magnezyi i składem swym zbliża się do azbestu i innych krzemianów magnezyi, sprowadzanych z Ameryki, jak *agolit, arbestyna* itp. Odznacza się wielką czystością i nieobecnością nadtlenku żelaza, siarki i wapna, czyli domieszek, jakie najczęściej zanieczyszczają większą część azbestów.

Nematolit przedstawia białość przepyszną, której udziela papierowi i nadaje mu piękny połysk. Nie jest on mączystym, nie posiada ziarn okrągłych, jak gips i kaolin, lecz włóknistym, a tem samem zdolnym do wytwarzania pilśni; przytem woda fabryczna nie unosi go w wielkiej ilości. W ten sposób gdy strata, ponoszona przez zwykłe składniki miazgi papierowej, dosięga niekiedy 50—60% co do wagi, ubytek w nematolicie, wynikający z umorzenia go przez wodę fabryczną, redukuje się do 50%.

Można wprowadzać do masy papierowej 20% nematolitu, nawet wytwarzającej produkt najcieńszy, gdyż ciężar jego gatunkowy jest nieco wyższym od cellulozy nasiąkłej wodą; z tego też względu można skrobać papier taki bez obawy, aby następnie pochłaniał atrament.

Według opinii fabrykantów papieru, najlepszy sposób użycia nematolitu następny; poddaje się 100 kilogramów tej materyi wrzeniu w 1,000 litrach wody i dodaje do mieszaniny 10 kilogramów mączki kartoflanej.

Analiza tej materyi, dokonana przez Anagenota, dała następne rezultaty: wody 2,30, krzemionki czystej 61,20, magnezyi 34,29, pierwszego tlenku żelaza 0,60, glinu 0,90, pierwszego tlenku magnezyi 0,41. Strata 0,30.

Galwanoplastyka subtelna. Obecnie zapomocą elektryczności powlekają cienką warstwą metalu drobne ciała organiczne, jak np. owady, kwiaty itp.

W tym celu przyrządzają płyn białkowaty, jak to zaraz zobaczymy.

Zmywa się w czystej wodzie ślimaki, dla oswobodzenia ich od materyj ziemnych i wapiennych, jakie te zwierzęta przyjmują z wody. Następnie przechodzą ślimaki do naczynia napełnionego wodą destylowaną, w którem pozostają dość długo, aby w niem pozostawiły materyę białkowatą. Płyn, w ten sposób otrzymany, filtruje się, a następnie poddaje wrzeniu przez godzinę.

Po ostudzeniu go, dolewa się w odpowiedniej ilości wody destylowanej dla zastąpienia płynu odparowanego i dodaje azotanu srebra. Płyn ten pozostaje w butelkach zakorkowanych i przechowywanych w ciemności.

Z kolei rozpuszcza się 30 gramów tego przetworu w 100 gramach wody destylowanej i zanurza w tym roztworze na kilka minut przedmioty mające się metalizować. Następnie przechodzą one do kąpieli z wody destylowanej, zawierającej 20% azotanu srebra i tu następuje redukcya przez wodór siarkowy soli metalicznej, przylegającej do osadu białkowatego. Nie pozostaje nic więcej wówczas, jak poddać kwiaty, rośliny lub owady, tak przygotowane, działaniu prądu w kadzi galwanoplastycznej. Pozyskuje się wtedy na nich osad o wiele doskonalszy od zwykłej metalizacyi, tak pod względem delikatności jego warstwy, jak i czystości odcisku.

Fonograf w użyciu praktycznem. Cudowny wynalazek Edissona, zwany fonografem, dotąd pozostawał bawidełkiem bez żadnego zastosowania. Obecnie P. Summer Tainter, dawny wspólnik wynalazcy telefonu w Grahma— Bella, udoskonalił w ten sposób fonograf, że tenże stanie się przyrządem przemysłowym, jak to okazały próby z nim odbyte w ubiegłym miesiącu w Londynie.

Słowa wyrzeczone nie przechodzą w tym fonografie na papier cynowy, lecz na cienkie warstewki wosku, przedstawiające kształt rury pomieszczonej na cylindrze. Każda rura może wygłosić tysiące słów z wielką precyzyą i czystością. Przemysłowiec może „fonografować“ swe listy za pośrednictwem tych rur i przesyłać je korespondentom. Dość jest w tym razie pomieścić te rury na przyrządzie głos przesyłającym. Za pokręceniem korbką przyrząd powtarza fonogram wyraźnie tyle razy, ile zechcemy.

O tym wynalazku rozpisują się dziś wszystkie gazety amerykańskie i europejskie, gdyż góruje on ponad wszystkimi innymi.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

ZAKAPTURZONY IDEALIZM.

II.

A więc, pierwszym z głównych grzechów nieprzejednanego realizmu jest zachcianka dosyć dziwna: ażebyśmy się zadawalniali odtwarzaniem tego, co nam dano. Nosa nam wtykać nie pozwalają po za skromne wiano rozkoszy i szczęścia, jakie dała natura.

Jeżeli kto namaluje człowieka z charakterem zacniejszym, niż otaczające nas grono pospolitaków — jest idealistą! Jeżeli przedstawi ofiarę większą od groszowego datku ulicznemu żebrakowi — jest idealistą. Jeżeli przekłada widok krwawej walki narodów nad obraz karczemnej bójki rzezimieszków — jest idealistą!

Szczęściem złote drzewo życia zwycięża po wsze czasy szarą teoryę i okrutnie sobie z niej drwi, właśnie dlatego, że samo jest realnem, żywotnem, że konary lśniące z równą mocą kierują ku słońcu i ciepłu, jak czarne kłęby korzeni do wnętrza mrocznej ziemi.

Zabronić duchowi pożądań nadcodziennych — to właśnie idealizm i taki sam *fizyologiczny* bezsens, jak żądać od rośliny, ażeby żyła i rozgałęziała się pod powierzchnią gleby; to smutny zabytek z czasów ślepej wiary w wolną wolę i niezależność procesów umysłowych od ustroju nerwowego i czynności organicznych.

Takich fakirów sztuka i estetyka wydała już sporo, ale gdyby zajrzeć im na dno duszy, okazałoby się niezawodnie, *doch die Kastrate klagten...*

Takich skarg bezwiednych w utworach Prusa i rysunkach i artykułach Witkiewicza wyczytasz mnóstwo. Nikt może częściej, niż oni, nie zadaje kłamu własnym swym formułkom, nie uderza tak łzawo w struny liryzmu, jak pierwszy z nich w *Placówce* lub *Anielce*.

Ale przechodzę do następnych grzechów. Domorosły nasz realizm, odcinając naturze ludzkiej jej aspiracye, prócz tego jeszcze całą pokrajał na drobne kawałki: jeden ma się rozkoszować baranami, inny — dźwiękami, trzeci ułamek — tylko obserwować, czwarty — tylko geniusz ludzki podziwiać itd. Zapomina jednak, że niema zadowoleń i przyjemności ściśle pojedyńczych, polegających na jednem tylko wzruszeniu, jak niema przedmiotów i niema dzieł sztuki, któreby łechtały tylko jeden nasz zmysł, jedną tylko władzę ducha. Wszystkie pojęcia nasze i uczucia stale się z sobą kojarzą i jedno występuje zawsze w kole innych. Nie masz obrazu o treści tak ograniczonej, ażeby działał wyłącznie na wzrok i przez wrażeń podobieństwa do swego wzoru, nie obudzał innych myśli i afektów. Nie masz dźwięków, któreby żadnych nie poruszały idej, choćby to był posępny świst wichru w kominku lub brzęczenie komara nad uchem.

Chcąc, czy nie chcąc, artysta musi każdy cal kwadratowy swego płótna, każdy takt melodyi, każdy wyraz i wiersz poematu, każdy filar świątyni — zapełnić *ekspresyą*, tj. treścią, na którą składa się cała nasza umysłowość, nad którą pracują wszystkie zmysły i cała inteligencya. Muzyka jest poezyą, poezya jest muzyką, rzeźbą, malarstwem, nawet architekturą; nie darmo muzy są siostrami — prawie wszędzie zjawiają się razem, trzymając się za ręce. Malarstwo jest poezyą, historyą, psychologią, etyką; powieść łączy w sobie pierwiastków estetycznych całe dziesiątki.

Gdyby nie ta psychologiczna konieczność, nigdyby z cegieł i ciosu nie powstała katedra św. Piotra i Pawła w Rzymie, z tonów zrodzona— symfonia Bethovena, z kamyków barwnych — mozajka w bazylice św. Marka, z mowy ludzkiej — *Boska komedya*, a z barw — *Madonna Sykstyńska* — nie byłyby tem, czem są, arcydziełami podniecającemi całą naszą istotę. Rzeźby zachwycałyby jeno mistrzów dłuta, malowidła — ściągałyby jeno przed siebie malarzów, wytwory gotyku lub stylu odrodzenia — zdumiewałyby tylko architektów, a pląsy bajadery — tylko złotą młodzież z pierwszego rzędu krzeseł.

Czemże jest w tej plątaninie estetycznych czynników ekspresyi — realizm, zgodność

świata dochodzą do nas wyraźniej — szczekanie psów, krzyk dzieci, turkot pojazdów, trzaskanie z biczów. Oto ziemia, niezmierna karta geograficzna, którąśmy oglądali przez pół minuty, odjeżdżając. Wznosimy się ponad nią zaledwo o sześćset metrów, najmniejsze rozróżniamy szczegóły.

Kury, na wielkim dziedzińcu, latają pomieszane, biorąc nas bezwątpienia za bujającego w powietrzu, olbrzymiego kroguica.

Cóż to znowu za zwierzę śmieszne biegnie przez pole? Czy to indyk biały, baran, czy gęś? Nie. Jest to mały chłopak, ubrany w majtki i koszulę: ujrzał nas i upadł twarzą do góry, co mi właśnie pozwala rozpoznać ludzkie ciało.

Zwracamy ku ziemi częste wezwanie, pobudką na trąbce rogowej. Ludzie odpowiadają nam krzykami i biegną po przez pola, rzucając swe domy i robotę. Furmani pozostawili wozy na drogach, i oglądamy, śród zbiorów zielonych, biegnący truchtem, tłum oszalały.

Balon dalej opada. Pierwszy przewodnik ciągnie na drzewa, drugi ma dotknąć ziemi, gdy dosięgamy linii kolei żelaznej, której druty telegraficzne grożą nam zatamowaniem drogi.

— Trzeba skakać na linię — krzyczy Jovis — bo telegraf jest gilotyną dla aeronautów.

Rzuca ostatni worek balastu, za jednym prawie zamachem, i balon, konając, robi ostatni wysiłek, ostatnią próbę wzlotu — przebywa nasyp, właśnie w tej chwili, gdy pociąg nadchodzi, którego maszynista salutuje nam, gwiżdżąc.

I oto znów jesteśmy oddaleni o trzydzieści metrów od ziemi. Jednem cięciem noża Jovis oddziela postronek od kotwicy, która upada na pole zbożowe. Uwolniona od tego ciężaru, *Horla* podnosi się nieco; ale ciągniemy z całej siły za sznur od klapy i łódka staje na gruncie, bez żadnego wstrząśnienia, pośród ludu wieśniaczego, który ją chwyta i przytrzymuje.

Wyskakujemy nareszcie, zmartwieni, że tak prędko się skończyła owa krótka a wspaniała podróż, ów pełen niewypowiedzianego uroku, polot po przestworze, wobec czarującego widowiska białych obłoków, jakich żaden nie może wymarzyć poeta.

Tłom. *B.*

z prawdą? „Jedną chwilką“ — „chwilką tylko.“ Jeżeli punkt ciężkości spoczywa w idei, np. w dramatycznem napięciu, lub lirycznej rzewności, potrzeba tylko *minimum*, nie obrażającego naszych pojęć o rzeczywistości tam, gdzie jej przedmioty i postacie grają główną rolę. Figury jednak obrazu, grupy lub poematu mogą należeć do świata fantazyi całkiem, a któż wtedy skontroluje ich prawdziwość? Kto oceni realność węża, duszącego w swych uściskach *Laokoona* i jego synów, lub realność *Świtezianki*?

Bardzo często dzieło sztuki wprost razi nas niemożliwemi barwami i kształtami, dziwacznem traktowaniem ciała ludzkiego, jak np. na obrazach starych szkół włoskich, wówczas rozkosz zgodności z naturą dla nas znika zupełnie, ale czy znika wszelkie zadowolenie estetyczne? Zostanie zwierciadło epoki, indywidualność artysty, idea etyczna, słowem, kilka czynników bardzo cennych i przedewszystkiem stanowiących o pięknie.

A muzyka? Ta wprost wyślizguje się nagabywaniom realistów. Żaden wagneryzm nie uczyni melodyi wiernem odbiciem motywów przez nią śpiewanych, a gwałtowna chęć złamania tej fatalności za wszelką cenę, rodzi dziwolągi, barbarzyńskie huki i grzmoty *Parsifala*, które, gdyby ich nie ilustrowała scena i akcya, równie łatwo mogłyby być wzięte przez słuchaczów za kantatę na temat wielkiej histeryi lub walki byków. Każdy dźwięk jest wieloznaczny — wyrzućcie libretto z *Don Juana*, a łatwo ktoś weźmie arcytwór Mozarta za parafrazę *Szalonego Orlanda*, *Dekamerona*, lub Byronowskiego *Beppa*. Gdzież tu więc mówić o ścisłej paraleli między sztuką a rzeczywistością?

O muzyce i poezyi rymowanej można twierdzić z całą stanowczością, że nie chcą być realnemi; natura nie zna ani melodyj złożonych, ani rymów. Ich pierwszy krok i sama forma już są zaprzeczeniem wszelkiej prawdy, a zadosyćuczynieniem wszelkiej rozkoszy.

Na to wszystko nieprzejednany realizm mógłby odrzec:

„Bardzo pięknie — najrozmaitszy bywa stopień prawdziwości i estetyk musi jednako uwzględniać mniejszą jak większą, musi sobie stworzyć sprawdzian-probierz tak rozległy, ażeby go mogły wytrzymać wszystkie dotychczasowe utwory natchnienia artystycznego, ale dziś — co innego. Dziś, po wielu błąkaniach się po odmęcie, dobiliśmy do przystani i zdobyli niezbity pewnik: że wierne naśladowanie świata prawdziwego, to *alfa* i *omega* sztuki.“

Na to odpowiem: „Kłamiesz Brutusie, kłamiesz Kasiuszu, kłamiesz i ty Asiniaszu,“ mizerny maruderze, wlokący za tamtymi swą tekę z bezmyślnemi fotografiami rynsztoków, chlewów i bydłobójni. W labiryncie motywów estetycznych, które przewinęły się do naszych czasów, w epopei, religii, romantyzmie, we wszelkich stylach i szkołach, są pewne pierwiastki bezwarunkowo stałe, odwieczne a niespożyte, daleko więcej, niż wierne naśladownictwo. Na ich czele stoi geniusz ludzki, w dwóch swych artystycznych objawach: oryginalności i indywidualności.

Powiadacie, że wedle tego, co wskazuje historya sztuki, treść nigdy nie wpływała na wartość dzieła, która polega wyłącznie na zaletach realistycznych? Lecz w takim razie cóż za różnica byłaby między oleodrukiem a płótnem oryginalnem, między odlewem gipsowym, zdobiącym restauracye, a oryginałem z marmuru, zdobiącym komnaty Luwru lub Belwederu?

Przypomnienie rzeczywistości, choćby bliźniacze, samo przez się nikogo w rozkosz nie wprawi. Czy Zeuksis i Parrasiusz doznali jakiejkolwiek przyjemności *na sam widok* swych obrazów, którym dali się złudzić? Bynajmniej, dopiero z chwilą, gdy poznali swój błąd, a więc i potęgę złudzenia— przyszła rozkosz, potężny, pierś rozsadzający hołd dla ludzkiego talentu.

Zresztą jeden z naszych *intransigeant'ów* realizmu, p. Witkiewicz, przeoczywszy regułę swojej sekty, sam pozwolił wymknąć się następującym słowom:

„Wszystko, cały świat rzeczywisty, czy świat wyobraźni, mieści się w sztuce. Nie ma takiego stworzenia, ani takiego zjawiska w naturze, ani takich uczuć, ani takich myśli, które niegodne byłyby artystycznej twórczości. Cały człowiek i cała przyroda może się objawić w sztuce pod jednym jedynym warunkiem, ażeby każde dzieło nosiło piętno *geniuszu*, a przynajmniej *talentu*. Oto, podług mnie, podstawa do klasyfikacyi *wartościowej* dzieł sztuki.“

Czytelniku, który pamiętasz mniej więcej treść słów tego samego autora, przytoczonych już dawniej, słyszę, jak pytasz, wzruszając z podziwem ramionami: czy to nie pomyłka? Czy p. Witkiewicz, jak bożek Janus, ma dwie twarze i dwoje ust, z których jedne mówią: „dzień dobry,“ gdy drugie mówią: „dobranoc“?

Nie — to naga prawda, bardzo częsta i pospolita śród pewnych pisarzów, u których istotnie lewica nie wie, co czyni prawica...

Ale że nie chodzi tu o wykrycie nowych cudów konsekwencyi polskiej — więc wracam do geniuszu. Na to chyba zgodzi się każdy, że polega on nietylko na umiejętności kopiowania przyrody, ale zarówno na świetnych pomysłach, tytanicznych uczuciach, wielkim darze słowa lub misternym ustroju ucha, tworzącym boskie rymy, czyli na cechach, nie mających nic wspólnego z naśladowaniem.

Wybitna oryginalność lub indywidualność, promieniejąca z samego artysty lub z jego dzieł, posiada taki urok dla wszystkich, że jej nie potrzeba ani treści bogatej, ani myśli nowych, ażeby podbić sobie świat. Taki Carlyle, albo Jean Paul Richter, albo Mirabeau — to nic innego, jak znane pojęcia, sądy i zapały, jeno inaczej, odrębniej uszeregowane, to po prostu nowa kombinacya znanych pierwiastków.

Jeżeli tedy należy się jakiemukolwiek pierwiastkowi piękna palma pierwszeństwa, to żadną miarą realności. Nie ona jest cząstką stałą i niezmienną w płynnym, pstrym i wiecznie się wahającym i coraz to innym żywiole sztuki.

Realizm dla realizmu, to idea dla idei — to wskrzeszony platonizm, jeżeli zaś uważać go będziemy za jedno ze zmysłowych objawów natchnienia, geniuszu — wtedy zrozumiemy go wszyscy.

Ale nietylko dla swej rywalizacyi z naturą prawdziwość używała i używać będzie czci, od samych pierwocin artystycznej twórczości do dnia, w którym rozlegnie się na naszym globie ostatni, łabędzi jej śpiew. Postulat jej staje do posług dwom celom sztuki plastycznej, przemawiającej zapomocą kształtów a nawet poezyi i muzyki, o ile chcą one i mogą liczyć się z rzeczywistością.

Pierwszym z nich jest rozkosz *typowości* w postaciach i przedmiotach.

Drugim — silniejsze, wyrazistsze działanie motywów na duszę widza, słuchacza lub czytelnika.

Po wszystkie czasy człowiek znajdował przyjemność w uzewnętrznianiu własnych myśli, uczuć i pragnień, w poznawaniu samego siebie, w odgadywaniu innych. Jak zwierciadlane odbicie, zdziwiwszy najpierw, raduje następnie dzikiego, tak wizerunek pewnej klasy ludzi, kategoryi usposobień, pewnego szeregu przedmiotów znanych połowicznie tylko, cieszy nas i podnieca. Im powszechniejszem jest odbicie, im więcej jednostek ogarnia, im szerszym typ — tem więcej serc przejmuje wzruszeniem, tem więcej ludzi pała dlań wdzięcznością, tak że w końcu poezya wszechświatowa, sylwetki Hamletów, Don Kiszotów, Faustów, Prometeuszów, Learów i Makbetów, Ottellów wybija się na sam wierzch i zasiada na tronie.

Ażeby ludzkość mogła się przejrzeć w Hamlecie — musi być koniecznie realnym, ale jakże ten realizm daleki jest od fotograficznej wierności, do której modli się nasza sekta! Typ szeroki, wszechobejmujący — to utwór sztuczny, to wcielone jeno uogólnienie pewnego rysu, właściwego licznemu ogółowi. Don Kiszotów, którzyby jak bohater Cervantosa całe życie nie rozstawali się z swym Rosynantem— niemasz pod słońcem... jest tylko po kawałku jego we wszystkich, ale to wystarcza poecie. Popęd — dzisiaj nazywany *donkiszoteryą*, poeta zrobił dedukcyą, do której dopasował wypadki, przygody i inne rysy charakteru, właściwości fizyczne, wedle praw często oderwanej psychologii i logiki — i stanęła przed nami postać nieśmiertelna, na pozór tak tętniąca prawdą, że nieraz już poważnie przypisywano jej wartość autentycznego okazu z kliniki (*Pi y Molits*).

Ta dedukcya niekiedy może być całkiem nawet wyssaną z palca i tylko siłą konsekwencyi, z jaką została przeprowadzona, użyczyła jej pozorów łudzącej prawdy. Któż to jest Quasimodo lub ojciec Madeleine jeśli nie mity a przecież dla nas żyją one tak, jak bogowie olimpijscy żyli dla greków.

Fakt ten uważam za pewnik, mało lub może zgoła nie uwzględniany przez estetykę i artystów nawet z szerokiej widowni Zachodu. *Safo, Gaussin, Klaudyusz z Dzieła*, mimo bajecznie subtelną charakterystykę, obejmują zbyt małe koło, ażeby mogły liczyć na nieśmiertelność. To typy miejscowe i dla reszty społeczeństwa dosyć obojętne, nas zachwyca w nich idealna konsekwencya wypadków i postępków, to jest tylko połowa dzieła. Francuzi rozkoszują się całem. Naodwrót Ślimak z *Placówki* zjednywa nas daleko więcej niż *Niezdara* Dygasińskiego, choć drugi jest portretem, a pierwszy zbiorowiskiem, średnio proporcyonalną, typową wielkością, do której pasują wszyscy chłopi razem, ale żaden z osobna, bo zadużo przechodzi kolei, zawiele posiada rysów znamiennych, jak na jednego człowieka.

Żyjemy w dobie, kiedy potrzeba typu osłabiła inne. Cywilizacya darwinistycznie bada siebie, uczy się, obserwuje, ze sztuki, zwłaszcza powieściopisarskiej, robi pracownię psychologicznej analizy dla celów praktycznych, wypełnia ją po brzegi *ideą* społeczną, co bynajmniej realizmu nie dowodzi, ale jej ujmy żadnej nie przynosi: oto przyczyna błędnego mniemania, że typ i fotografia jest wszystkiem. Człowiek jest po dawnemu spragniony świeżych motywów, nowych pomysłów, a dla wyczerpania inwencyi Zachodu, ożywcza struga noweli ruskiej, polskiej, lirycznej, ale wcale nie realistycznej — to nowy świat piękna.

Jeżeli treścią dzieła sztuki nie jest typ ale wzruszenie inne, wtedy realizm postaci i dziedziny, w której się one obracają, stanowi o większem lub mniejszem wrażeniu. Tragikomedya życia ludzkiego może być przedstawiona tylko na ludziach żywych. *Kain* Byrona wstrząsa nami, bo to nasi bliźni z krwi i kości; *Prometeusz* Shelleya zdumiewa szczegółami i sceneryą ale robi wrażenie widma nieuchwytnego, i nudzi każdego, kto nie jest wytrawnym smakoszem literackim. *Zatoka śmierci* Payera, namalowana przez p. Żmurkę lub Kotarbińskiego wedle wskazówek choćby Michała Anioła — przejmowałaby dreszczem co najwyżej woźnego z Towarzystwa zachęty. Byłby to stek mglistych nieprawdopodobieństw i fałszów, kłujących oczy.

Dobiegam do kresu. Pewny, że słowa te będą... grochem o ścianę. Nasi zakapturzeni idealiści, środek zrobili celem samym w sobie, tak jak etyka prawowierna zrobiła moralność, czyli *warunek* harmonii powszechnej, ostatecznym celem postępowania, lub jak w czasach scholastyki, wyrazom przypisywano byt realny. Tego rodzaju choroba należy do trudno uleczalnych, bo sta-

nowi manię. W tem przewidywaniu zrobię im jednak wielkie ustępstwo.

Dajmy na to, że realizm może i musi być zachwalanym dla samej idei naśladownictwa, a naśladowanie natury to najwyższy szczyt artyzmu i ideał sztuki — czy nawet w takim razie temat i treść są dodatkami obojętnemi?

Jeżeli fizyognomia ludzka jest równie łatwą do sportretowania, jak np. książka, jeżeli grupa złożona z dwudziestu osób, tak, iż każda z nich inny wyraża stan ducha, inne posiada rysy, postawę, szczebel społeczny itd., tyloż nastręcza trudności, co stado baranów — w takim razie oni mają słuszność. W takim razie talent malarza, świetnie odtwarzającego rysy papuasów, równien talentowi artysty, robiącego portrety Kanta lub Schopenhauera, poezya charakteryzująca drzewo, równa poezyi charakteryzującej z nie większą, lecz jednakową sztuką starcie dwóch namiętności ludzkich, muzyka naśladująca wielką bitwę, równa muzyce, naśladującej urwany okrzyk trwogi, a rzeźbiarz wykuwający indyka zaperzonego równien Canovie, wykuwającemu *Herkulesa* z maczugą.

Cezary Jellenta.

JAN KOCHANOWSKI *)

(według S. Tarnowskiego).

Wśród ogłuszającego huku reklamy i pochwalnego dymu, który miał oślepić zachwalanych niedowiarków, ukazała się przed paru tygodniami nowa książka najpierwszego, jak zapewnia *Czas*, krytyka u nas. To powinno wystarczyć każdemu, by ją przejrzał. Zachowawcza redakcya może pochylić głowę w ten sposób tylko przed panem z panów, przed Stanisławem Tarnowskim, który z katedry profesorskiej zrobił kazalnicę agitacyjną, wszędzie i zawsze jest wyłącznie członkiem, czy wodzem stronnictwa politycznego— dla zgnębienia przeciwnika i wywyższenia swych przyjaciół wybrednym w środkach nie jest. Przykładem *Waleryan Kalinka*, wydany przy końcu przeszłego roku.

Znający działalność literacką p. Tarnowskiego wiedzą, że dotychczas (z wyjątkiem *Pisarzy politycznych wieku XVI* i kilku rozpraw mniejszych) zajmował się on przeważnie stuleciem bieżącem. Niejeden więc spyta, dlaczego zwrócił on swą uwagę aż na wiek szesnasty i na poetę, którego życie nie da mu zapewne sposobności do politycznych turniejów. Na to odpowiedź łatwa. Stańczycy, jak już raz zaznaczyliśmy, wszędzie wyszukują swych praojców. Jest to gromada Geldhabów naszego życia społecznego. Postępują oni śladem spanoszonego dorobkiewicza, którego dziadek pasał trzodę chlewną, on zaś każe malować drzewo genealogiczne, pełne kasztelanów i wojewodów. Jak w historyi Bobrzyński, tak w dziejach literatury rolę Niesieckiego odgrywa właśnie p. Tarnowski.

Rozumie się więc, że postać Kochanowskiego musiała go ku sobie ciągnąć. Tłomaczył bowiem sobie i innym: „Skoro już nieśmiertelny Zygmunt, ów król naszej poezyi wieku dziewiętnastego, jak powiedział lub z pewnością powie pan Klaczko, naszym jest zupełnie, czyż nie byłoby ładnie dla nas, a pouczająco dla tej *ulicy*, na którą zawsze narzekał nieśmiertelny Szujski, gdyby i książę poetów, Jan z Czarnolasu, okazał się tak białym, jak burbońskie lilie, tak prawowiernym i tak zachowawczym...“ „jak dzisiejszy profesor krakowskiego uniwersytetu“ — dokończymy za p. Tarnowskiego. Chęć zrodziła czyn i ukazał się gruby tom, zawierający podmalowane tło dziejowe, życie i ocenę działalności poetyckiej twórcy *Trenów*.

Darmo przecież szukałbyś w nim badań samodzielnych. Jest to kompilacya, streszczenie rozpraw obcych. Wprawdzie pociągnął p. Tarnowski pracę swą tynkiem dość gładkiego stylu i pomalował barwą swych politycznych zapatrywań, lecz cegiełki do ścian gmachu wziął z licznych już dzisiaj monografij o pierwszym naszym poecie. Po plecach tedy pp. Chlebowskiego, Chmielowskiego, Faleńskiego, Gasztowtta, Löwenfelda, Małeckiego, Nehringa, Plenkiewicza, Przyborowskiego i innych drapał się w górę. Jest to tak widocznem, że sam autor wolał w przedmowie przyznać się otwarcie. Oto jego słowa: „Przed czterema laty, kiedyśmy obchodzili pamiątkę trzechsetnej rocznicy śmierci Kochanowskiego, kiedy w Warszawie ukazało się pomnikowe wydanie jego dzieł, a wszędzie wiele prac krytycznych dziełom tym poświęconych, wydało mi się rzeczą naturalną i pożyteczną, zebrać razem wszystko, co nam dotąd o Kochanowskim jest wiadome i na podstawie tych prac szczegółowych ułożyć książkę, któraby była i opowiadaniem jego żywota, o ile nam jest znany, i ocenieniem jego pism.“

Lecz zbyt mało zręczności posiadałby p. Tarnowski, gdyby na takiem zadaniu poprzestał. Życie wieszcza z Czarnolasu obfituje w mnóstwo stron ciemnych i nieznanych, przyrównać je możnaby do starego rękopisu, z którego wiele pergaminowych kart wydarto, z innych wyskrobano część tekstu i ozdobne, złotem malowane inicyały. Stąd nadarza się sposobność do tysiąca przypuszczeń, do różnorakiego łączenia pozostałych ustępów, rodzi się mnóstwo hypotez, które przeciwnik zwalcza, i stawia nową, równie chwiejną i fałszywą. P. Tarnowski tedy objął obowiązki rozjemcy, rozumie się, nie bezstronnego. Ze zdań i poglądów sprzecznych wybiera i uznaje za słuszne te tylko, które przystają ściśle i dokładnie do trójkąta jego politycznych zapatrywań, które są echem haseł jego stronnictwa. Zachwyca się zdaniami własnych uczniów, którzy światu jeszcze są nieznani, niezmordowanie zaś groty ciska w pierś uczonych warszawskich, ustawicznie bez wymieniania nazwiska sprzecza się z p. Spasowiczem.

Z pod jego pióra wyszedł Kochanowski jako przeciętny szlachcic polski, bardzo kochliwy i namiętny, lubiący hulanki, pełny dzban i wesołą „kompanię,“ a przytem obdarzony średnim talentem poetyckim, nie zbyt bogatą wyobraźnią uposażonym. Sporo tam lenistwa widocznie, kiedy boi się walki na świecie, usuwa się z wiru spraw wszelakich, a woli siedzieć w domu, poprzestając na małem. Tu nie potrzebuje wytężać sił, bez obawy zguby może ręce bezczynnie założyć i marzyć o niebieskich migdałach. Czasem zaś, gdy wena służy, napisze jakiś wierszyk. P. Tarnowski niewypowiedzianie raduje się, że poeta poznał się na „marności i znikomości świata“ i nabrał przekonania, „że szczęśliwe życie tylko przy cnocie i mierności możliwe.“ Zapomina jednak, że gdyby wszyscy tylko o siebie i o swą równowagę duchową troszczyli się, o drugich zapominając, to wkrótce rozkrzewiłoby się najobrzydliwsze samolubstwo w całem społeczeństwie, a niebawem to ostatnie rozpadłoby się w kawały. My sami jesteśmy najlepszym dowodem, do czego prowadzi zalecane przez p. Tarnowskiego sobkostwo. Zresztą każdy na własne oczy może obejrzeć typ, ulubiony przez krytyka krakowskiego, gdyż ród Kochanowskich — w jego rozumowaniu — rozrasta się u nas licznie i szybko.

Główny jednak nacisk w swej pracy położył autor na przeprowadzeniu dowodu, że Kochanowski był wiernym katolikiem i że jego utwory pełne są pojęć „rzymskich.“ A właśnie tu ciemna strona całej sprawy, bo z katolicyzmem pieśniarza żartobliwych i często podkasanych *Fraszek* sprawa niejasna. Już w XVII wieku Wespazyan Kochowski uważał za potrzebne ująć się za nim i zmazać z niego czarną plamę podejrzenia o herezyę. W tej mierze najprawdopodobniejszym jest sąd p. Spasowicza, który mówi o nim, że „nie porzucił katolicyzmu, w duszy jednak był teistą.“ „Ten teizm jednak godził się jaknajzupełniej z całym Olimpem starożytnym i robił Kochanowskiego zgoła obojętnym na spory religijne, tak, iż dotychczas niewiadomo, na czyją stronę bardziej się przechylał: czy był katolikiem w duchu, czy protestantem.“ Współpracownikowi *Teki Stańczyka* uderza do głowy krew wartka i gorąca, wiele razy taką wątpliwość napotka. To też od pierwszej niemal do ostatniej karty książki ustawicznie namaszcza Kochanowskiego na wiernego syna kościoła. Tak np. kiedy mówi o wierszu p. t. *Zgoda*, to wyszukuje i podkreśla tylko takie ustępy, które naprowadzają na myśl, że był wierzącym, pomija zaś te, które mu mogą zaprzeczyć. Gdy w *Satyrze* natrafił na słowa: „Jedź do Trydentu, tam pokażesz, co umiesz“ — to spogląda tak dumnem z radości okiem, jak woltyżerka cyrkowa, skoro przeskoczy odrazu przez sześć obręczy, zalepionych bibułką. Tłomacząc, dlaczego Kochanowski nie przyjął święceń kapłańskich, mówi: „Gdyby on był pod względem religijnym tak obojętny, jak niektórzy utrzymują, byłby się mniej wahał. Cóżby mu szkodziło przyjąć święcenie, odbyć formalność, czy ceremonię, która mu zapewniała beneficya, dochody, z czasem może infułę i krzesło w senacie, a jego wiary i sumienia nie obchodziła ani dotykała? Jeżeli tego nie zrobił, to widocznie na przeszkodzie stanęła wiara i sumienie, wysokie pojęcie kapłaństwa, jako obowiązkowej świątobliwości. Bez tego pojęcia byłby został złym księdzem, jak wielu, a tego pojęcia znowu nie byłby miał bez wiary, która mogła nie być zupełnie ustaloną, ale była oczywiście żywą i rzetelną.“

Lecz naraz dostaje się między hrabiowskie zęby twardy orzech do zgryzienia. Kochanowski przyjaźnił się z Dudyczem, biskupem z Funfkirchen, który mimo infuły ożenił się. Nasz poeta pisze wiersz radosny na wieść o tej nowinie. Tu p. Tarnowski wpada w gniew. „Ożenienie księdza, biskupa, nie dziwi go (Koch.) ani gorszy, jakżeby nie wiedział lub zapomniał o kapłaństwie i złamaniu przysięgi, jakżeby w tem nic złego nie było...“ A dalej: „Wiersz jest, poprostu mówiąc, bardzo gorszący. U protestanta byłby naturalny, u człowieka młodego i płochego byłby zdrożny, ale jeszcze do wybaczenia. Ale żeby człowiek, mający lat 37, zatem zupełnie już dojrzały, katolik, nie oburzył się w swojem sumieniu na takie małżeństwo, ale je chwalił; żeby wreszcie nie ze względu przekonania i sumienia, ale ze względów przyzwoitości tylko, nie zawahał się, nie pomiarkował, że mu takich rzeczy pisać nie przystoi, choćby przez wzgląd na tego podkanclerzego biskupa, którego był podwładnym i przyjacielem, to jest ze wszystkiego, co się o Kochanowskim wie przez cały ciąg jego życia, rzecz najdziwniejsza.“ Kto wie właśnie, czy to nie dowód, że p. Tarnowski myli się, odkrywając co chwila w wierszach Kochanowskiego mnóstwo pojęć rzymsko-katolickich. Istnieją podobno chorzy, którzy wszędzie widzą złoczyńców, godzących na ich życie; p. Tarnowski z każdego wiersza naszego poety wyczyta przywiązanie do kościoła. Także i w *Trenach*, mimo panującego tam pomieszania pojęć, wynajduje dowód, gołosłowny zresztą, że „stałą treścią jego uczuć i głównym pierwiastkiem w jego pojęciu człowieka i życia nie był sceptycyzm, ale owszem religijne uczucie i wiara i poddanie się Bogu.“

Na mocy więc tego wszystkiego p. Tarnowski przeprowadza proces kanonizacyjny. Zapewnia, że Kochanowski musiał być

*) Kraków, 1888, str. 470 i XXIII.

stateczym i zupełnym katolikiem. Wprawdzie z jego pism wionie tu i owdzie zaraźliwy sceptycyzm, czasami zgrzytnie przeczenie, lecz „w życiu katolickie uczucia, katolicka tradycya, mogły grać rolę daleko większą i być codzienną, szczerą, pobożną praktyką.“ „Byłbym — powiada autor — bardzo skłonny mniemać, że pomimo wszystkiego, co nas w jego pismach razi i gorszy, Kochanowski zachowywał ściśle przykazania kościelne, na mszę chodził, postów nie zaniedbywał, do sakramentów przystępował.“

Widzimy, jak Stańczycy, podobni w tem do swych nauczycieli, jezuitów, umieją nawracać nawet po śmierci. Nie chodzi nam zupełnie o to, czy kto ma i jakie wyznanie religijne i nie rozdmuchujemy religijnego fanatyzmu w piersiach tłumów, za przykładem niektórych obłudników, uprawiających niwę w winnicy pańskiej. Teraz przecież trzeba zaprotestować przeciw takiemu podrabianiu historyi. Czy Kochanowski był protestantem, czy katolikiem, to nie zmniejszy jego zasług w oczach żadnego rozsądnego człowieka; pozostanie on zawsze wielkim w rocznikach naszej literatury. Powyższe przecież dowodzenia rzucają światło na wartość prac p. Tarnowskiego, świadczą, jak mało można ufać jego wywodom. Po zdarciu bowiem z nich naskórka, zawsze ukaże się czerwony, dzwoneczkami strojny kołpaczek Stańczyka.

A. Witski.

LITERATURA MAŁORUSKA.

Towarysz, pyśmo literaturno-naukowe.

Pod takim tytułem zaczęło wychodzić nowe czasopismo. Przybrało ono formę książkową. Pierwszy numer tworzy wcale pokaźną broszurę o przeszło 7 arkuszach objętości i stanowi w sobie zamkniętą całość. Treść jego jest dość obfitą i różnorodną. W artykuliku programowym zapowiada redakcya, że stać pragnie na gruncie narodowym, że jednak uważa narodowość za ramę, którą zapełniać należy wynikami nowszej wiedzy i kultury europejskiej. Drogą nauki, swobodnej wymiany myśli oraz wzajemnego porozumienia się, redakcya dążyć pragnie do pojednania wszystkich szczerych pierwiastków w dotychczasowych stronnictwach. Również i co do żydów zaznacza redakcya swe stanowisko, które polega na popieraniu wszelkiego swobodnego i cywilizacyjnego ruchu śród masy izraelskiej. W tymże numerze znajdujemy przekład jednej piosenki z żargonu żydowskiego, wskazującej, że w tej wzgardzonej gwarze wypowiadane bywają także na gruncie galicyjskim myśli, wyrażane prądy świadomie czy nieświadomie postępowe.

Z artykułów treści naukowej spotykamy w pierwszym numerze krytyczną pracę M. D., który rozbierając książeczkę p. O. Stodolskiego p. t. *Etnografia Słowiańszczyzny*, szczególną uwagę zwraca na metodę, wedle której praca ta dokonaną została. Wykazuje on całą nienaukowość i iluzyjność tego szowinizmu narodowościowego, który od jakiegoś czasu zapanował w prasie a nawet w nauce galicyjsko-rusińskiej i jest poniekąd przeżuwaniem teoryi Duchińskiego o jedynym słowianizmie i europeizmie rusinów i ukraińców. P. D. przypatruje się temu twierdzeniu z różnych stron, dowodząc nietylko jego bezpodstawność, ale także szkodę, zwłaszcza dla narodowości tak słabo dotychczas rozwiniętej i tak mało posiadającej zdobyczy cywilizacyjnych, jak Ruś halicka.

Publicystyczne poniekąd znaczenie ma także artykuł p. M. Pawlika o emigracyi rusinów do Ameryki. Umieszczony był pierwotnie w *Głosie*, tutaj jednak został uzupełniony i opracowany dokładniej. Autor przywiązuje do emigracyi rusińskiej i do kolonij amerykańskich wielką wagę, wyrażając nadzieję, że wywrą one zbawienny wpływ na kraj ojczysty, z tego zwłaszcza powodu, że wychodźcy, udając się za morze na zarobek, nie porzucają swego kraju, ale w przeważnej ilości po kilku latach wracają, wzbogaceni zarobkiem i nabytem na obczyźnie doświadczeniem, i osiadają u siebie na roli. Autor zachęca też młodych, inteligentnych rusinów, którzy nieraz w ojczyźnie zostają się bez chleba i przyszłości, żeby szli za ocean pracować pośród swych braci, co byłoby dla nich pożądaną i znakomitą szkołą (rada bardzo wątpliwej wartości *Red.*).

Dalej idą streszczenia; Z. Seweryna „Pierwotne formy rodziny“ według L. Morgana, W. Arciszewskiego „Nędza Galicyi“ według Szczepanowskiego, W. Budzynowskiego „Robotnicy rolni w Anglii“ według Kabłukowa. Z recenzyj spotykamy tu: pani Kobryńskiej rozbiór powieści Stindego „Rodzina Buchholzów,“ przetłomaczonej niedawno na język rusiński.

W dziale belletrystycznym spotykamy na czele numeru nowelę Iw. Franka „Przemysł domowy,“ której tłomaczenie polskie, z rękopisu dokonane, drukowanem było w *Kraju* roku zeszłego, dalej tegoż autora przekład dwóch epigramatów czeskiego poety Karola Hawliczka-Borowskiego i wspomnianej już pieśni żargonowej, wreszcie rzecz satyryczno-polemiczną, podaną „zamiast fejletonu“ p. t. „Nasza publika.“ Ciętem piórem charakteryzuje tutaj autor dwulicowość, wstręt przed myśleniem i strach przed słowami o niezrozumiałem znaczeniu, jakie panują w prasie rusińskiej. Winna temu publiczność, której redaktorowie i autorowie nibyto ulegać muszą, zamiast ją prowadzić i wychowywać. Autor gorącemi słowy wykazuje potrzebę swobodnej dyskusyi, która jest pierwszym warunkiem rozwoju życia publicznego. Dalej w tymże dziale belletrystycznym znajdujemy parę udatnych wierszy ukraińskiego poety Hetmancia, panny Kl. Popowiczowej i p. O. Makoweja.

Pierwszy numer *Towarzysza* mimo swej treści, całkiem niewinnej, uległ jednak konfiskacie. Policya upatrzyła niektóre nieformalności w tem, że numer nie wyszedł na oznaczony termin i że podpisany na nim był tylko redaktor odpowiedzialny, a nie wydawca, i aresztowała cały nakład. Jest nadzieja, że nakład ten obecnie, po dwumiesięcznej kwarantannie i przeprowadzeniu dwóch rozpraw sądowych będzie wkrótce uwolniony.

Iw. Franko.

TEATR.

Lena, dramat w 4 aktach (6 odsłonach), Maryana Jasieńczyka (Wacława Karczewskiego), odznaczony na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego.

Pierworodne dziecię p. Maryana Jasieńczyka, które w r. 1886 przebyło zwycięzko ogień chrztu konkursowego, a następnie powołane zostało do oddziaływania na serca i umysły społeczeństwa przez Melpomenę prowincyonalną—na scenie teatru Letniego ukazało się dopiero w ubiegłą środę. To spóźnione nieco wprowadzenie *Leny* na drogę szerszego zawodu nie dziwi nas bynajmniej; dyrekcya bowiem teatrów warszawskich przestrzega z dawien dawna starej zasady, i, nie kwapiąc się z wystawieniem prac — nawet uwieńczonych, czeka cierpliwie, „aż się przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży...“ Bądź co bądź, i za to, co zrobiła, należą się jej tym razem dzięki. Późno na większym widnokręgu zajaśniała gwiazdka; ale w całym blasku swej piękności rodzimej. Witaj, urocza Leno— oczyściłaś nieco powietrze sceniczne won fiołków i cyprysów...

W jednym z dworków ziemi sandomierskiej mieszka rodzina szlachecka Zbrodowskich. Pan, pani domu i „Ciocia Olesia“ są postaciami typowemi; Lena (Helena), córka-jedynaczka, zbliżona charakterem do matki, może skutkiem wychowania, którego tajemnic nie znamy, a może dzięki dalszym losom — przerasta średnią szlachcianeczki polskiej miarę. Eustachy Zbrodowski i „Ciocia Olesia“ mają pewne cechy wspólne: ślepe przywiązanie do tradycyi, tępotę umysłową i dobre serce; ale Eustachy swym temperamentem przypomina kozła, „Ciocia“ — owieczkę. Pani domu jest kobietą, która, pod względem rozsądku, o całą głowę przerasta męża: umie ona przewidywać wyniki błędnej rachuby i oceniać sytuacyę obecną, w zakresie spraw rodzinnych; lecz nie ma swej woli i z godną podziwu biernością szanuje wszelkie objawy uporu swego małżonka. Lena kocha Jana Rogockiego, który jest dalekim jej krewnym; długo wszakże, jak to zwykle bywa za dni majowych życia, nie zdaje sobie sprawy z czystych uczuć swoich. W przededniu ślubu z hrabią Gustawem, szczebiot jej dziewczęcy na nutę brzmi weselną: jest narzeczoną, a będzie małżonką — mąż jej daje tytuł hrabiny—szaty, kosztowności, wieńce — wszystko to olśniewa i w jakiś taneczny zawrót wprawia młodą główkę; martwi ją tylko, że jej nie pozwala w chwili uroczystej nosić na szyi medalionu Janka — chcąc zatem powetować sobie doznaną krzywdę, tuli do ust również tę z fiołków, otrzymaną od kuzyna, a drogi, kunsztownie spleciony bukiet w kąt rzuca. Dziwna rzecz, powiemy nawiasem, że nikt z obecnych na to wtedy nie zwraca uwagi... Mijają dwa lata. Dziewczę stało się kobietą. Wczesne zawody przyśpieszyły dojrzałość. Hrabia Gustaw Narola jest bankrutem i łotrem skończonym. Związany stosunkiem krwi i zależności finansowej z księciem Jerzym, gotów, bez namysłu, sprzedać mu swą żonę. Za narzędzie, wtajemniczone w szczegóły planu, służy mu zdawkowy szubrawiec, Edmund Kłoński. Powrót z obczyzny Janka Rogockiego, szlachetnego i pełnego zapału chłopca (ku któremu teraz Lena czuje gwałtowną, choć idealną miłość) sprzyja łotrowi i wikła tragiczny splot okoliczności. Wywiązuje się stąd szereg sytuacyj, uczuciem wstrętu przejmujących widza. Lena z próby wychodzi zwycięzko. Prześliczną jest scena, w której bohaterka obnaża przed obecnymi zdradzoną niezręcznie przez starego księcia, nikczemność zamiarów swego małżonka. Ale ten ma pod ręką oręż, którego w porę użyć nie omieszka: obwinia Lenę o występne z Jankiem stosunki. Wyświecenie z domu kuzynka, czemu on (rzecz osobliwa!) bez szemrania ulega, a następnie ucieczka ratującej się przed hańbą — przechyla szalę opinii na stronę czarnego charakteru. Ojciec nawet nieszczęśliwe dziecię odepchnął, a matka mężowskiej uległa powadze. Mija pół roku. Lena toczy proces rozwodowy. Rodzice, uwiadomieni o całej prawdzie przez Kłońskiego, który się z hrabią Gustawem pogniewał, przytulają córkę do swego łona, prosząc o przebaczenie. Jest to czuła scena, z oświetleniem tak nienaturalnie sielankowem, że płacz p. Niewiarowskiej („Cioci Olesi“), dobrze zresztą udany, pobudza do śmiechu weselszą sferę publiczności. Nikt nie myśli o bliskiej burzy i krwawem rozwiązaniu dramatu. Grom spada z pogodnego nieba. Hrabia Gustaw, mimochodem, na ulicy, nazwał Janka Rogockiego — kochankiem swej żony. Następuje wyzwanie i pojedynek. Szlachetny młodzian pada, ugodzony w serce, a Lena, która zapóźno przybyła na miejsce katastrofy, dostaje w okamgnieniu obłędu.

Oto główny zarys fabuły dramatu, zasługującego ze wszech miar na miano tragedyi salonowej.

W utworze p. Karczewskiego nie ma żadnej, głębszej a pod jakimkolwiek względem nowej, myśli przewodniej. Związek małżeński Leny z Hrabią był dla bohaterki wielkiem nieszczęściem. Za główną przyczynę katastrofy można uważać: popierwsze—nieoględność rodziców, a raczej — rozpaczliwą próżnię w głowie ojca, kierownika domu; powtóre — uświęconą prawem kanonicznem, nierozwiązalność małżeństw. Dwie te skały podwodne, te dwie straszne miny życia rodzinnego wywołały już tysiące skarg daremnych. Nasz autor nie jest w tym zakresie wymowniejszy od innych. Łatwoby było w *Lenie* znaleźć usterki przeciwko regułom scenicznym; nietrudno nawet — ze stanowiska fizyo-psychologa — to lub owo zganić (np. nagłe, niepoprzedzone żadnemi anteryorami, obłąkanie Leny); można wreszcie wykazywać słabe miejsca w budowie artystycznej, rozwodząc się, dajmy na to, nad niedoskonałością obu odsłon aktu czwartego; ale zarówno plastyka charakterów, (z wyjątkiem stereotypowo a nieudatnie narysowanego Kołkiewicza, plenipotenta księcia), jak potoczysty, miejscami świetny, dyalog — stawiają ten utwór w rzędzie dodatnich zjawisk naszej literatury dramatycznej, a głębia uczucia i umiejętność grania na sercach ludzkich zdradza w p. Karczewskim prawdziwego poetę. Widz-słuchacz wychodzi z teatru wzruszony, unosząc w duszy wstrząsające echo tragicznego okrzyku Leny: „czemu?! Okrzyk ten, prosty a głęboki, sięga do otchłani tajemnic bytowych i jest rodzajem błyskawicy, wymierzonej z ziemi ku nieznanemu niebu...

Gra panny Wisnowskiej była świetna, chwilami — zdumiewająco-mistrzowska, a całe otoczenie pomagało jej skutecznie do wykonania harmonijnej całości.

A. G. B.

POEZYA.

IDEALIŚCI.

(J. Franka).

W błotnisku maluczkiem pod pniem przepróchniałym
Robactwo swe gniazdo złożyło;
Ten kąt zapomniany był światem ich całym,
Pokoleń kolebką, mogiłą.

Marzyły robaki czasami jedynie
O słońcu, co świeci nad nimi,
O życiu w przejrzystej, błękitnej krainie,
Zalanej promieńmi jasnymi.

I z marzeń tych wniosek wynikał wciąż taki:
— Najlepszem jest to, co istnieje...
W poezyi i prozie śpiewały robaki
Szczęśliwe śród błota snu dzieje.

Aż kiedyś pień ludzie zrąbali spróchniały,
Zajrzały w kąt blaski gorące...
Pomarły robaki i mrąc przeklinały
Prawdziwe, zabójcze to słońce.

Tłom. *B. Kutyłowski.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zdziwienie syngalezów. — Ludzie ziemno-wodni. — Zaoszczędzeni telegrafiści. — Przypuszczalna rozmowa ze śpiącym.—Czy twórcy oszczędności sypiają.— Rozpowszechnianie wynalazku. — Gdzie można skubać. — Literatura na kolejach żelaznych. — Zagadkowe tytuły przywilejów.—Złote wędzidło.—Prośba do ekonomistów. — Żałoba po zacnej rodzinie. — Gwałciciele grobów. — Losy zapisu d-ra Orzechowskiego. — Hyeny testamentowe.

Wyobrażam sobie, jakie dziwy po powrocie do domu opowiadać będą swym ziomkom bawiący u nas syngalezowie, szczęśliwcy, mający na Cejlonie codzień jasne słońce w górze i suchą ziemię pod stopami — dobrodziejstwa, których my nie używamy nawet co święto. Przedewszystkiem, zakląwszy się na czcigodne imię Buddy, będą usiłowali przekonać rodaków, że my stanowimy szczególny rodzaj istot ziemnowodnych, których miasta są ciągle wysychającemi jeziorami. Pomiędzy bogami a ludźmi—tak zapewne sądzą nasi goście—panuje ta zawzięta i nieustanna walka: gdy bowiem pierwsi, otworzywszy wszystkie śluzy nieba, wylewają straszliwe deszcze, drudzy, wiercąc dziury w ziemi, robią z niej gąbkę, która te fale wsiąka. Syngalezi prawdopodobnie przypuszczają, że jest to kara za nasze odszczepieństwo, gdyż, jak wiadomo, jesteśmy bardzo blizkimi ich krewniakami religijnymi, tylko oddaliliśmy się od czystego źródła natchnień Buddy i wpadliśmy w bałwochwalstwo. Patrząc na nas z litością i lekceważeniem, zapewne pytają siebie w myśli: jak ci ludzie mogą żyć, nie będąc ani rybami, ani zwierzętami wodnemi? A cóż dopiero gdyby wiedzieli o innych zagadkach życia, przeczących: fizyce, geometryi, psychologii, prawu, medycynie itd.?

Z samego p. Hantowera możnaby usnuć pyszną legendę cejlońską, a członkami zarządu kolei Nadwiślańskiej — zaludnić obszerne niebo. Droga ta stanowczo już przechyliła się ku buddyzmowi i swoim podwładnym zaleca *nirwanę*. Jak donoszą pisma, system „oszczędności“ puścił nową gałązkę. Według przepisów ministeryalnych na mniejszych stacyach kolejowych winno być po trzech telegrafistów; otóż zamierzono jednego „oszczędzić,“ a robotę rozdzielić między dwóch. Znowu więc: 24 godziny nieprzerwanego zajęcia na dobę. Musimy przewidywać dwie możliwości: albo wyciągnięta do takiego natężenia skóra ludzka pęknie, albo znużona omdleje, a wtedy nie życzę nikomu podróżować koleją Nadwiślańską, gdzie zmęczeni 24 godzinnem czuwaniem telegrafiści uwiadamiają linię o ruchu pociągów. Niech mi wolno będzie zrobić tu zuchwałe przypuszczenie i postawić się na wysokim stanowisku twórcy „oszczędności,“ który znienacka spada na swych podwładnych. A więc telegrafując z Warszawy do Nowego Dworu: „Czy prawdą jest, że dróżnik nr. 30 zasiał sobie w wazonie garść żyta?“ Żadnej odpowiedzi. Pytam drugi raz — milczenie. Daję sygnał ciągły — nareszcie dyżurny donosi: „Wagon z chlebem już przejechał naszą stacyę i nikt go nie otwierał.“ Nie rozumiem wyjaśnienia i rozgniewany, najbliższym pociągiem jadę na śledztwo. Wezwany telegrafista tłomaczy się tak: „Znużony 23 godzinami pracy zasnąłem i śniło mi się, że dyrekcya przysłała nam wagon chleba, który natychmiast rozebraliśmy i zjedli. Nagle przebudzony źle odczytałem depeszę, ponieważ zaś w niej była mowa o „wazonie“ a ja śniłem o „wagonie,“ więc pod wpływem nierozwianego jeszcze marzenia...“ Co temu winowajcy odrzec? Gdybym sam około północy nie uczuwał potrzeby zaśnięcia, postawiłbym mu siebie za przykład. Ale ponieważ wraz z innymi ludźmi ulegam prawu natury, więc znalazłem się w kłopocie i mogę odgadnąć, co w takich wypadkach mówi zwierzchnik telegrafistów na kolei Nadwiślańskiej, jeżeli sypia.

Hasło „oszczędności“ rozbrzmiewa teraz po wszystkich naszych kolejach. Dróżnik, podając dróżnikowi sygnał, nie trąbi już, jak dawniej: „truuuu,“ ale: „strzy-gą-nas.“ Ostrzożenie to jest bez racyi. Ekonomiści „żelazni“ bowiem wykryli, że najdłuższą i najlepszą wełnę mają owce najpośledniejsze w stadzie: dróżnicy, konduktorzy, niżsi urzędnicy, pobierający 15, 20, 30, 50, 75 rs. pensyi miesięcznej. Tych więc przedewszystkiem strzygą nożycami „oszczędności.“ Tak np. korespondent z Radomia donosi nam, że na drodze Iwangrodzko-Dąbrowskiej, gdzie również zaczyna być wypróbowanym wynalazek systemu „Halpern-Hantower,“ oficyalista posunięty na wyższe stanowisko, dostaje pensyę mniejszą, niż jego poprzednik (zamiast 720—600). Pewien konduktor, któremu za pracę w magazynie należało się 40 kilka rs. dyet, otrzymawszy lepsze miejsce, utracił prawo do tej zarobionej sumki i niejako zapłacił za awans.

Wkrótce ma być również przesłany etat osobowy kolei W.-Wiedeńskiej i Bydgoskiej.

Nie znając szczegółów gospodarki naszych dróg żelaznych, nie mogę twierdzić, ażeby pewne w nich oszczędności nie były słuszne. Owszem, przypuszczam nawet, że roztropność nakazuje je zaprowadzić. Ale pomijając sknerstwo kolei Nadwiślańskiej, uderzającem w innych jest podskubywanie biedaków. Główne smoki funduszów kolejowych, ssawce ogromnych pensyj i tantyem wychodzą cało, tylko drobiowi „ekonomia“ wyrywa piórka. Zatamowanie rozrzutności w górze dałoby lepszy i uczciwszy skutek, niż pompowanie na dole. Drugim i bardzo kosztownym zbytkiem tych instytucyj są t. z. „synekury,“ posady umyślnie wytworzone dla krewniaków, przyjaciół, protegowanych itd. Koło każdego magnesu kolejowego grupują się opiłki bezużyteczne i tylko siłą przyciągania protekcyj utrzymywane. Lwią część tego łupu posiada literatura, a raczej prasa. Usunięcie jej z biur kolejowych byłoby bardzo pożądanem, gdyż: albo sprawiłoby ulgę ich kasie, albo też dałoby zajęcie skazanym na bezrobocie ludziom innym, właściwszym, w każdym zaś razie otworzyłoby zamknięte milczeniem usta dziennikom i oczyściło opinię w sprawach dróg żelaznych. Jest to i niesprawiedliwością i dziwolągiem, że technicy daremnie szukają pracy, a literaci liczną gromadą urzędują na kolejach. Wiecie, co oni tam robią? Ubezpieczają dyrekcyę od... krytyki. Dzięki im, jedna z najważniejszych gałęzi gospodarstwa krajowego nie staje się prawie nigdy przedmiotem bezstronnych sądów i rozbiorów w prasie. Gazety o niej milczą lub po przyjacielsku bąkają. A jakże mogą się zdobyć na niepodległość lub surowość zdania, skoro redaktor lub współpracownik zajmuje wygodną posadę, i dla siebie, swej żony, siostry, ciotki, brata, szwagra, znajomego, służących dostaje bilety wolnej jazdy? Według mnie, jeżeli kto nie powinien żądać i otrzymywać takich podarków, to właśnie redaktor i dziennikarz. Przedewszystkiem — z jakiego tytułu? Jeżeli to nie są złote mundsztuki, co za związek istnieje np. między sprawozdawcą teatralnym lub fejletonistą pisma a drogą żelazną? Dalej: wydawca-redaktor mający kilka tysięcy rocznego dochodu, jeździ darmo a nędzarz, który zastawia kapotę, dla kupienia biletu, musi zań płacić. Czy nie byłoby godziwszem, ażeby zarządy kolejowe zamiast redakcyom, rozesłały pewną ilość kart wolnej jazdy: ochronom, przytułkom, Towarzystwu dobroczynności i wszelkim schronieniom nędzy? Ubóstwo—to tytuł do przywileju. A więc, szanowni „ekonomiści,“ sprawcie, ażebyśmy spadli z etatów kolejowych, my — fejletoniści, sprawozdawcy muzyczni, estetycy, krytycy, powieściopisarze itd. Dla was będzie to wielka korzyść materyalna, dla nas — moralna. Przestaniemy dobrowolnie milczeć w sprawach, o których bardzo głośno i często mówić powinniśmy. Każda droga żelazna, to ogromny zbiór ludzi i interesów kraju, który musi pozostawać pod kontrolą publiczną. Rozdawnictwem posad i biletów wolnej jazdy, które nam się z żadnej racyi nie należą, osłabiliście tę kontrolę aż do zupełnej nicości i pobłażliwości, po-

zbawiliście dzienniki bardzo ważnego materyału, którego brak muszą one zastępować rozprawami o półświatku paryzkim, zacnych rodach całego świata, rozmaitych sportach, o Dumasie, Zoli i Daudecie.

Czcicielom „zacnych rodów“ popsuł całkiem humor niejaki A. Strzelecki, dziedzic Kukizowa w Galicyi, który wraz ze swą matką domniemalnie mordował i rabował mieszkającego u nich ks. Tchórznickiego. Matka przeszła przez szpalty prasy bez znaków szczególnych, ale o synku powiedziano, że był hulaką, marnotrawcą, urwipołciem, czyli — „złotym młodzieńcem.“ Że takiemu jegomości zapachniało 100 kilkadziesiąt tysięcy złr., jest to bardzo zrozumiałem. Gdyby był „pozytywistą warszawskim,“ naturalnie czytalibyśmy we wszystkich ewangeliach dobrego obyczaju przypowieści o nasieniu szatana; a ponieważ bohater nie należał do „materyalistów,“ więc pisma konserwatywne wdziewają tylko żałobę po „zacnej rodzinie.“ A my? Czyż nie powinniśmy krzyknąć: oto, do czego prowadzą wasze ideały itd.? Nie! Przedewszystkiem szacunek dla... logiki. Lekceważą ją tylko jej dzieci nieprawe, w przelotnym związku z fanatyzmem zrodzone.

Ale jeżeli bez przesady nie można powiedzieć, ażeby nasi potomkowie „zacnych rodzin“ mordowali dla pieniędzy, tedy z zupełną słusznością rzec wolno, iż gwałcenie woli zmarłych na celo społeczne stało się u nas zjawiskiem zwykłem. W r. z. sąd okręgowy warszawski oddalił roszczenia rodziny po d-rze Orzechowskim, który 200,000 rs. zapisał dla Towarzystwa dobroczynności. Uzyskawszy stosowną decyzyę senatu i zmniejszywszy swą chciwość do 95,000 rs., spadkodziercy przenieśli proces do sądu mińskiego. Tu, kręcąc rozmaitemi „nieformalnościami“ sprawę wygrali, ale ostatecznie ma ona być rozstrzygniętą dopiero w wileńskiej Izbie sądowej. Nie dość tego pieniactwa z nieboszczykiem. Według *Kur. warsz.*, kochana rodzina d-ra O. „wszystkie swe pretensye sprzedała grupie adwokatów prywatnych i innych geszefciarzów z b. obrońcą prywatnym w Mińsku, Chejficem na czele, pozbawionym teraz prawa stawania w sądach za pewne mniej z prawem karnem czyny.“ Początkowo ów Chejfic, mając słabą nadzieję wygrania, przybrał sobie spólników, którzy na koszta procesu wnieśli po 25, a inni po 5 rs. Gdy jednak sprawę wygrano, rozpoczęły się waśnie o podział łupu. Wreszcie rozłożono go między dwie grupy: Chejfica i Rozencwejga. Ponieważ pierwszy posiadał plenipotencyę, więc drugi, spoiwszy brata nieboszczyka, nakłonił go do odwołania jej i wystawienia innej — dla niego. Z obawy zaś, ażeby przeciwnik nie użył tego samego sposobu, Rozencwejg uwięził Orzechowskiego w Wołożynie. Ale Chejfic wykradł jeńca, którego mu znowu odebrał wspólzawodnik.

W taki to wir wpadła szlachetna ofiara dobroczyńcy. Odraza wstrzymuje pióro od dotykania tego brudu. Dawniej pragnący obdarować społeczeństwo przemyśliwali nad ubezpieczeniem legatów od złej woli obcych; teraz trzeba je przedewszystkiem ubezpieczać od grabieży swoich najbliższych. Zaiste w dziwnem położeniu znajduje się u nas każdy człowiek chcący na ołtarzu dobra publicznego złożyć po śmierci ofiarę: otacza go gromada cieniów, szczerzących zęby i grożących mu napaścią natychmiast po zamknięciu trumny.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szkoła realna w Radomiu. — *Gazeta radomska*. — Skargi rolników. — Pociski *Praktycznej* na ród niewieści. — Projekt szkoły rolniczej dla kobiet. — Serownia ziemiańska. — Jak sobie radzą mieszkańcy nadgraniczni w Kaliskiem. — Solidarność obywatelska. — Miłośnicy służby afrykańskiej i paryskiej.

Nie pamiętam, aby Radom był kiedy tak czem wzruszony, jak obecnie projektem założenia szkoły realnej. Stąd można wnosić, iż nie dziesiątki, ale setki łaknących wiedzy i odtrąconych od innych jej przybytków, wypatrują zbawiennego promyka na niebie naszej oświaty. *Gazeta radomska* przejęła się tą sprawą goręco i poważnie, jej zaś szersze poglądy na stosunki nasze i zestawienie ich z zagranicznymi, zasługują na wielką uwagę, tem bardziej, że nietylko inne, prowincyonalne pisma, ale i stołeczne, nie występowały w taki sposób. Gdybyśmy mogli przejrzeć cyfry porównawcze spraw szkolnych u nas i za granicą, tobyśmy spąsowieli ze wstydu, ale możemy sobie oszczędzić tej przykrości, gdyż wszelkie u nas dane statystyczne pod tym względem (i wielu innymi) są zanadto mgliste, ogólnikowe i skąpe. Niemcy wiedzą, że im tylko rumieniec zadowolenia wystąpi na lica, chociaż nie należą do pierwszych w oświacie, więc nie poprzestając na cyfrach suchych, przedstawiają sprawy szkolnictwa graficzne.

P. Rogoyski w organie radomskim słusznie zwraca uwagę na chorobliwą oszczędność w życiu społecznem i nazywa to wyzyskiwaniem danego społeczeństwa bez najmniejszego celu i potrzeby. Setki tysięcy rubli, leżące w bankach, są raczej hańbą a nie zaszczytem naszych miejskich zarządów.“ Zwracając się do swego miasta, autor radzi, aby zamiast dusić bezużytecznie kapitały w bankach, lub kasie miejskiej, przyczynić się do założenia szkoły realnej. Z tem się zwraca do prezydenta miejscowego. Zobaczymy, jaki będzie skutek: gdy pomyślny — *Gazeta radomska* położy wielką zasługę. Od chwili zmiany redaktora i wydawcy, tj. od nowego roku, pismo to zmieniło się wewnętrznie. Jest wiernem odbiciem potrzeb i gorliwym rzecznikiem prowincyi, sprawy swoje umie łączyć z ogólnemi, a ma tę jeszcze zaletę, że nie sięga do ziemi Ogniowej, Patagonii, Kamerunu itd., nie chcąc spółzawodniczyć z innemi gazetami, poświęcającemi na to sporo miejsca. W stałej rubryce „Głosy publiczne,“ obok rozsądnych i słusznych, nie brak bywa dziwacznych i humorystycznych roszczeń. Niedawno p. Kuźnicki zwrócił uwagę, iż młodzież wiejska, przysłuchując się od dzieciństwa fałszywemu wyrzekaniu ojców na pracę w rolnictwie, traci chęć do zagonu i ucieka do miast, aby tam żyć z dnia na dzień i daremnie wyczekiwać lepszej doli. Niejaki p. Sokołowski wystąpił przeciwko temu poglądowi z przykładem: Pewien młody człowiek, po skończeniu gimnazyum, „wbrew woli rodziców,“ wstąpił do instytutu puławskiego, który ukończywszy chlubnie, udał się na dwuletnią praktykę rolniczą. Po odbyciu jej i po napisaniu bardzo mozolnej rozprawy, złożył nieobowiązujący powtórny egzamin, celem otrzymania stopnia naukowego — „uczonego agronoma.“ Teraz, nie mając własnego majątku, „od kilku miesięcy poszukuje odpowiedniej posady.“ Dotychczas, pomimo usilnych starań i niezbyt wielkich wymagań, nie znalazł nie może. „Jakież będzie jego rozczarowanie — dodaje p. S. — jeśli tak potrwa jeszcze kilka miesięcy; przecież gdyby się poświęcił innemu jakiemuś zawodowi, to dotychczas chociaż najskromniejsze znalazłby zajęcie.“ Szkoda, że p. S. nie potrafił poznać lepiej naszych stosunków; przekonałby się, że i we wszystkich innych zawodach o najskromniejsze zajęcie bardzo jest trudno, że skończeni inżenierowie, prawnicy, matematycy, filolodzy, lekarze nawet, nieraz bezowocnie kołaczą o posady, nie po kilka miesięcy, lecz po kilka lat i zajmują się albo lekcyami, albo szukają innej pracy. Znam zdolnego matematyka, który, po długiej walce o jutro, dostał się do Banku; lekarza, który po kilkunastoletniej praktyce zniechęcił się do swego fachu i myśli o dzierżawie rolnej. Jakiż więc błąd popełnił młodzieniec, dobijając się stopnia uczonego agronoma? Taki, że się urodził w epoce schorzałego ustroju społecznego.

Nie potrzeba dowodzić, że naszym rolnikom brak ważnej podstawy — wiedzy fachowej. Nieumiejętna gospodarka męzka i kobieca, jest pierwszym, największym wyłomem w murze dobrobytu. Dotychczas zarzut ten śmiało robiono silnej połowie, gdyż wrodzona nasza grzeczność towarzyska uzdalnia tylko do pochlebstw dla płci słabej. Obecnie jakaś *Praktyczna*, próżno wyczekująca pomocy od opiekunów i ojców rodzin napomnienia dla swych towarzyszek, sama występuje (w *Kuryerze codziennym*) z ostrymi pociskami na gospodynie wiejskie i receptą na niedomagania domowe, wynikłe z niedbalstwa lub nieumiejętności. „Gdzie nie ma gospodyni, marnuje się wszystko, a przecież racyonalne gospodarstwo polega na tem, aby każdą rzecz odpowiednio zużytkowano. Panny, nudzące się na wsi, a czujące w sobie spory zasób energii, szukają jakiegobądź zajęcia produkcyjnego. I tu zwycięża moda: obiera się to, co może być chwilową zabawką, a gdy sitko zestarzeje się, idzie z kołka pod ławę. Córki obywatelskie dążą do Warszawy, w celu uczenia się wyrobu krawatów, introligatorstwa, malowania na szkle i porcelanie itd. Potem wracają do domu, ustawiają narzędzia i wypracowania na półce i znowu dni długiej bezczynności, aż do zamążpójścia. Inaczej być nie może, skoro rzemiosło nabyte niema zastosowania na wsi. Za to kluczniee wszechwładnie rządzą domem. Na to *Praktyczna* zwraca uwagę i radzi wiejskim pannom kształcić się na dobre gospodynie, takie, „któreby rachunkami dowieść mogły znajomości gospodarstwa.“ Bo cóż to za sztuka — powiada — jeżeli pani X. ma dużo pięknego drobiu, wychowanego na mężowskiej pszenicy, którą podczas jego nieobecności zabiera się ze spichrzu. Gdy mąż narzeka, że mu się niedomierzyło, twierdzi się zwykle, że wyschło ziarno. Kręcenie się po domu w ładnym fartuszku i przyglądanie się co chwila w lustrze, czy w nim do twarzy, nie prowadzi do niczego. W taki sposób uczona gospodarstwa panienka — powiada dalej autorka — wyszedłszy za mąż, rujnuje tylko męża, gdyż wszystko odbywa się na pokaz. Za to chowają się kaczki bez wody, gęsi bez oddzielnego dla nich paśnika, krowy bez żyznych, odpowiednich łąk, trzoda chlewna bez punktu łatwego i korzystnego zbytu. Dla zaradzenia temu wszystkiemu, *Praktyczna* radzi założenie szkoły rolniczej dla kobiet. W mieście trudno ją utworzyć, więc na ten cel możnąby kupić, czy wydzierżawić, mały folwarczek, chociażby na kilka mil od Warszawy. Prędzej da się do celu droga sposobem spółki. Wszystkie panie i panny wiejskie, zapalające się i gasnące z szybkością sznurka pyrotechnicznego, powinny natychmiast wziąć się do urzeczywistnienia tej praktycznej myśli, aby po kilku tygodniach nie zapomniano o niej. Wszelka nowość, chociaż zajmuje, ale i trwoży nas. Otóż pamiętajmy, że projekt powyższy nie jest wcale nowym, zna go w praktyce zachodnia Europa *od lat kilkudziesięciu*. Istnieją tam zakłady agronomiczne rządowe i prywatne dla dziewcząt, posyłające wyroby swych uczenic na wystawy międzynarodowe. Dlatego też za granicą mnożą się i rozwijają wszelkie fabryki wyrobów z surowych produktów drobnego gospodarstwa. U nas, z wyjątkiem zabezpieczenia potrzeb domowych, reszta albo leży odłogiem, albo się oddaje w ręce przedsiębiorców, np. pachciarzów. Zanim kobiety, pielęgnowaniem drobnych gałązek przyczynią się do rozwoju całych konarów gospodarstwa, już grono obywateli pomyślało o tem w Piotrkowskiem. Otwarto tam fabrykacyę serów na sposób zagraniczny, pod nazwą: „Krajowa spółka serowni Kruszyna-Borowno.“ Zało-

życiele początkowo przerabiają mleko tylko z własnych obór; nadto w przyszłości mają zamiar nabywać je od sąsiadów, na wzór przemysłowców bawarskich i szwajcarskich. Odpadki z przetworów mlecznych służą za karm nierogaciznie opasowej.

Dobrze się urządzają nadgraniczni mieszkańcy w gub. kaliskiej. Zawiązali oni stosunki z Hanowerem, Wrocławiem, Dreznem, Lipskiem, Berlinem, dokąd wysyłają gęsi, wogóle drób, masło, jaja itd. Wszystkie drogi bite do księztwa Poznańskiego zapełnione są wozami naładowanymi. Ze Słupcy w każdym sezonie wysyła się 100 tysięcy sztuk drobiu. Wywóz jaj stamtąd wynosi około półtora miliona rocznie, masła wychodzi bardzo często za granicę po 500 do 600 centnarów dziennie. Nadgraniczni mieszkańcy księztwa zakupują bardzo wiele mięsa. Wogóle w Słupcy i okolicy utrzymuje się z handlu wywozowego 80—90 rodzin.

Z kaliskich stron nie bardzo daleko do Galicyi wschodniej; zajrzyjmyż tam, aby podziwiać rzadki przykład solidarności szlacheckiej. Niedawno jednemu z obywateli tamtejszych (donosi *Gaz. warsz.*), który bez własnej winy wpadł w ciężkie kłopoty materyalne, sprzedano majątek „z młotka.“ Nabył go galicyjski bank kredytowy. Dowiedziawszy się o tem obywatele sąsiedni i mieszczanie z Jaworowa, utworzyli komitet ratunkowy, celem starania się o fundusze na odkupienie dóbr od banku i oddania ich poprzedniemu właścicielowi, pod pewnymi warunkami. Przydałyby się takie komitety ratunkowe w szerszym zakresie, któreby rozciągały opiekę nietylko nad niedomagającymi materyalnie, lecz i... moralnie. Możeby pod jego wpływem powien kapitalista, właściciel ziemski, zaniechał sprowadzania czarnej służby. Zawarł on z murzynami umowy na trzy lata, zobowiązując się, oprócz poniesienia kosztów podróży i całkowitego utrzymania na miejscu, płacić każdemu po 1,500 rs. rocznie. W skład rajców w Jaworowie wchodzą księża, mieszczanie i szlachta; w tym zaś ostatnim wypadku należałoby wezwać jeszcze zdolnych psychiatrów. Gdyby to fakt pojedynczy, nie byłby on tak groźnym, ale, niestety, powtarzają się one za często, aby na nie uwagi nie zwracać. Są obywatele ziemscy, sprowadzający z Paryża całą służbę, o czystym akcencie nadsekwańskim. Srogą naganę otrzymają oni za to, jeśli się odważą zachwycić kilka słów polskich od mizernego kuchcika lub chłopca do koni. Pan ich drży o czystość wymowy francuskiej, bojąc się, aby ją nie skaziła miejscowa. Jeśli nie wierzycie, czytelnicy, spytajcie hr. Adolfa Mostowskiego; on wam wskaże pośród swych sąsiadów takie okazy.

Drogomir.

Ze Świacka od abonenta naszego p. P. G. odbieramy list następujący.

W numerze 34 *Prawdy*, w artykule „Na widnokręgu“ pomieszczoną jest wzmianka o sprawie serwitutowej w dobrach „Balwierzyszki.“ Nie podając w wątpliwość prawdziwości samego faktu, zmuszony jestem zwrócić uwagę, że wnioski p. Drogomira w tej sprawie są co najmniej dziwne. Widocznie autor zapomniał o tem, że jeszcze w r. 1876 wydane zostały przepisy, według których właściciele lasów, obciążonych służebnościami, o ile ich dobrowolnie nie zamienią, obowiązani są, chcąc ze swych lasów użytkować, urządzić je. Drzewo opałowe dla włościan ma być wydawane w sążniach sześciennych, o ile nie wystarcza w urządzonym lesie zasób materyałów, użytkowanych przez nich uprzednio. Ten ostatni warunek prawo zostawia woli właściciela lasu. Czemuż zatem p. Drogomir stawia właściciela dóbr Balwierzyszki pod pręgierzem opinii publicznej i robi go twórcą nowego projektu załatwiania serwitutów, kiedy on posiada za sobą prawo, z którego mógł oddawna korzystać, a nie korzystał być może z tychże względów, które p. Drogomirowi leżą na sercu, tj. nie chciał „geometrycznie załatwiać palących spraw czyli oddzielać szlachcica od chłopa.“ Nie znając osobiście właściciela dóbr Balwierzyszki, występuję w imię słuszności.

PRASA RUSKA.

Mosk. Wiedomosti piszą:

„W szeregu przygotowań, czynionych przez austryaków w przewidywaniu wojny z Rosyą i zagarnięcia terytoryum naszego, ważne miejsce zajmuje nauka języka ruskiego, dla porozumiewania się z opanowanymi w przyszłości włościanami. Gorliwość austryaków w tym kierunku jest nieraz zabawną. Każde zdanie w *Podręczniku* wydrukowano alfabetem ruskim, tudzież literami niemieckiemi, wskazującemi, jak należy wymawiać. Niektóre frazesy są charakterystyczne. Idzie np. o zebranie zapasów żywności drogą rekwizycyi. Czytamy więc takie rozkazy: „Dostarczyć 50 wołów, 30 podwód, 200 bochenków chleba, 300 worków owsa, 10 fur siana, 100 wiązek słomy, 100 worków jęczmienia (spróbójcie dostać go w gub. Nowgorodzkiej!), 30 worków mąki.“ Spis ten kończy się groźbą: „Jeżeli nie dostarczycie wszystkiego w ciągu trzech godzin (jaki gwałtowny!) to sami poszukamy!“ (str. 81). Gdzieindziej pogróżka brzmi tak: „Jeżeli nie dostarczycie wszystkiego w oznaczonym czasie, to gmina ulegnie karze“ (str. 82). Frazesy ruskie napisane są całkiem poprawnie (nawiasem mówiąc, o wiele lepiej, niż tureckie w naszym podręczniku z 1887 r.).

„Ciekawa jest rozmowa, gdy żołnierze wejdą do chaty chłopa. Oficer austryacki mówi: „Czas jeść!“ Chłop pyta: „Czego żądacie?“ Oficer: „Czy masz chleb, mięso, wieprzowinę, wołowinę, cielęcinę, baraninę, jaja i ser?“ Chłop: „Mam tylko chleb i jaja.“ Oficer: „Widziałem na podwórzu kury, kaczki i gęsi.“ Chłop milczy. Oficer mówi dalej: „*Zarżnij* kurę, kaczkę i gęś.“ Chłop milczy. Apetyt oficera zaostrza się. Czytamy nowy rozkaz: „Upiecz gołębia“ (str. 87).

„Ale podręcznik uwzględnia nietylko olbrzymi apetyt oficerów austryackich. Zawiera on także nadzwyczaj ścisłe i trafne objaśnienie skróceń używanych w korespondencyi wojskowej; litery mają tu taką samą formę jak w piśmie. Dalej znajdujemy wzory gotowych blankietów, za których pośrednictwem porozumiewają się z sobą dowódcy oddziałów podczas pochodu i bitwy. Spotykamy także dobre rysunki sygnałów telegraficznych systemu Morsa; nie brak nawet umówionych znaków. W końcu jest porównanie monet, miar i wag, oraz szczegółowe wytłomaczenie umówionych znaków wojskowo-typograficznej mapy ruskiej (Schlüssel zu den russischen milit. typografischen Generalstabskarten).“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Akcyza. Okólnik ministra spraw wewnętrznych wyjaśnia dwa punkty, dające powód do nieporozumień w praktyce akcyzowej: 1) Na zasadzie art. 1, oddz. 1-go prawa z d. 7 czerwca, dzierżawca gorzelni składa depozyt w takiej wysokości, aby mógł pokryć sumę akcyzy, przypadającą za 14-dniową produkcyę, lecz przytem nie jest wymaganem, aby dzierżawca składał nowe depozyty za każde 14 dni. Jeden może służyć na cały czas kampanii i w miarę rozszerzenia produkcyi winien być tylko odpowiednio powiększony. Zwrot depozytu może nastąpić po zamknięciu wszystkich rachunków ze skarbem. 2) Na zasadzie art. 1 i 2 oddz. I go prawa z 7 czerwca, dzierżawcy gorzelni w Królestwie Polskiem, mogą od czasu wydania rzeczonego prawa składać depozyty na równi z dzierżawcami innych miejscowości państwa, w wysokości odpowiadającej sumie akcyzy za 14 dniową produkcyę.

— Minister skarbu na mocy postanowienia Rady państwa, objaśnił urząd akcyzy, że opłata patentowa od fabryk cukru wynosić powinna rs. 5 za każdy pełny tysiąc pudów wyrobionego towaru.

Likwidacya. W gronie urzędników kolei Terespolskiej — jak donosi *Kuryer codzienny* — projekt zupełnej likwidacyi kasy emerytalnej zyskuje coraz więcej zwolenników. Interesowani utrzymują, iż wobec konieczności zreformowania kasy, a następnie zmiany w przyszłości warunków bytu kolei, niema innej drogi wyjścia. Po wprowadzeniu w życie nowej kasy, według ustawy normalnej, wszyscy urzędnicy, pozostawszy jej członkami, będą mogli osobiście rozpocząć starania o zabezpieczenie im minionych lat służby i otrzymane wkłady umieścić na umówionych i przyjętych warunkach, lub złożyć je w kasach zaliczkowo-wkładowych. W razie przystania ogólnego zgromadzenia na likwidacyę, podział na wszystkich uczestników całego majątku kasy, wynoszącego przeszło milion rubli, przedstawi wiele trudności i pracy.

Oszczędności. Wynagrodzenie konduktorów i nadkonduktorów t. z. wiorstowem, za prowadzenie pociągów towarowych i gospodarczych, na tutejszych drogach, zmniejszono do 40 kop. za każde 100 wiorst.

Ulgi wojskowe. Młodym ludziom, kształcącym się w zagranicznych zakładach naukowych, nie skutkiem obowiązkowego dla ich ojców przebywania za granicą, odroczenia i ulgi mogą być udzielane nie inaczej, jak za oddzielnem za każdym razem Najwyższem zezwoleniem, wyjednywanem przez p. ministra oświaty po uprzedniem porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych. Tacy popisowi obowiązani są do próśb swych o odroczenie dołączać pomiędzy innymi dokumentami, poświadczone przez ruskie poselstwo lub misyę, świadectwa zwierzchności zakładu naukowego, w którym się kształcą, co do nieskazitelnego ich prowadzenia się i pilności w naukach.

Facet, kalendarz wesoły na r. 1889, zawiera zgrabne ilustracye i dosyć dowcipu brukowego. Przy sposobności zwracamy uwagę zarówno *Facetowi*, jak i wogóle naszym pismom humorystycznym, że używany przez nie pomysł drukowania lichych rymów w formie prozy należy do konceptów najnieszczęśliwszych. Robót takich poprostu czytać niepodobna, gdyż robią one wrażenie kulawej prozy.

Nowe pisma. P. R. Korwin-Piotrowski, według doniesienia *Graždanina*, otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie pisma codziennego, polityczno-literackiego, p. t. *Ziarno*.

— W Poznaniu z d. 1 października r. b. wychodzić zacznie tygodnik humorystyczny p. t. *Pokraka*.

Swiet donosi: „Przystąpiono już do odlania olbrzymiego pomnika Cesarza Aleksandra II dla Królestwa Polskiego. Model jest dziełem artysty-rzeźbiarza A. M. Opiekuszyna i odznacza się artystycznem wykończeniem, oraz głęboką myślą. Ogólna wartość pomnika wynosi 80,000 rs., koszta zaś odlania 15,000 rubli. Inicyatywa pochodzi od generał-gubernatora Hurki.“

Zjazd elektrotechników w Petersburgu odbędzie się w r. 1889 z rozszerzonym programem.

Zapis. Józef Lande, kupiec, zapisał 2,000 rs. w listach zastawnych m. Łodzi dla szpitala starozakonnych. Władza zatwierdziła.

Na Nowej Zelandyi straszne trzęsienie ziemi trwało przez pół godziny.

Towarzystwo ubezpieczeń na życie „New-York“ podczas ośmiomiesięcznej działalności, zawarło ubezpieczeń na 8 milionów rubli. Rezultat ten skłonił dwa inne towarzystwa zagraniczne, „Equitable“ w New-Yorku i „Victoria“ w Berlinie, do poczynienia starań celem uzyskania koncesyi na Cesarstwo i Królestwo.

Pamiętniki generała Scheridana ukażą się wkrótce w handlu księgarskim. Mają one wielkie znaczenie pod względem historycznym.

W Paryżu nastąpi 14 października odsłonięcie pomnika Shakespeare'a. Wzniósł go własnym kosztem anglik William Knighton.

Burza gradowa w z. m. nawiedziła osadę Tyszowice w pow. Tomaszowskim. Grad wielkości orzecha włoskiego powybijał prawie wszystkie szyby w oknach, zniszczył zasiewy jare i sady owocowe. Straty obliczają na 30,000 rs. W gminie Sidory, pow. bialskiego, grad zniszczył plony na przestrzeni 745 morgów.

Szkoły. W warszawskiej szkole weterynaryjnej jest wolnych tylko 10 miejsc, o przyjęcie zaś zgłosiło się przeszło 60 uczniów. Od realistów wymagany jest egzamin dodatkowy z łaciny. W ostatnim roku szkolnym otrzymało dyplomy na lekarzy weterynaryjnych 8 studentów, z tych 3 przeniósł departament medyczny do gub. uralskiej, 3 na prowincyę, 2 pozostało w Warszawie.

— W programie egzaminów wydziału historyczno-filologicznego, podług nowej ustawy uniwersyteckiej, znajduje się następujący rozkład wykładu dziejów polskich, stanowiących część ogólnej historyi ludów słowiańskich: Zawiązek państwa polskiego i jego losy za Mieczysława I i Bolesława Chrobrego. Polska za Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Śmiałego, Bolesława Krzywoustego, pod względem zewnętrznego i wewnętrznego bytu. Polska za Kazimierza Wielkiego i jego następców do pierwszej unii Litwy za Jagiełły. Od zgonu Jagiełły do Zygmunta I. Państwowy i społeczny ustrój w tej epoce, walka władzy królewskiej ze świecką i z hierarchią duchowną. Historya rozwoju sejmów. Zygmunt I i Zygmunt August. Dzieje reform politycznych, kościelnych i społecznych. Reforma sądów. Unia z Litwą. Polska od wygaśnięcia dynastyi Jagiellonów do zgonu Władysława IV, jej byt wewnętrzny i zewnętrzny. Polska za królów elekcyjnych w drugiej połowie XVII w. Dzieje zewnętrzne i widma upadku wewnętrznego. Polska za dynastyi saskiej i historya stopniowego jej rozkładu. Rozbiory Polski w związku z historyą polityki europejskiej owego czasu i usiłowaniem stronnictw krajowych, aby zmienić ustrój Rzeczypospolitej. Losy słowian zachodnich w czasie walk napoleońskich do utworzenia nowego cesarstwa niemieckiego w r. 1871. Krótkie wiadomości o ważniejszych kronikarzach polskich. Zarys historyografii polskiej. Szkoła Naruszewicza i jego naśladowców. Szkoła Lelewela i jego następców. Szkoła historyczno-prawnicza i jej wyobraziciel M. Bobrzyński.

— Ministeryum dóbr państwa zamierza utworzyć specyalną katedrę przemysłu winnego w akademii Petrowsko-Razumowskiej pod Moskwą.

Zmarli. Zygmunt Krysiński, mecenas, lat 75. W r. zeszłym skończył 50 lat pracy w zawodzie prawnym. Był z kolei patronem, adwokatem i obrońcą przy warszawskich departamentach rządzącego senatu. Po reformie sądowej zaliczony został do grona adwokatów przysięgłych. Znany był z uczciwej pracy i pożytecznej działalności obywatelskiej.

— William Chappell, weteran angielskiej literatury muzycznej, syn założyciela wielkiego interesu muzycznego w Londynie. Zajmował się przeważnie wydawnictwem angielskiej muzyki baladowej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Urzędnikowi. Dzisiejszy numer *Prawdy* chyba uspokoi obawę Pańską i szkodę biednych i o wrażenie słów naszych. Bądź Pan spokojny, żadna dyrekcya kolejowa prośby naszej o bilet wolnej jazdy nie ogląda i to właśnie daje nam swobodę sądu.

P. Wandzie Trzcińskiej. Pomimo odwołania się Pani na fakt opisany w *Nowinach*, sądzimy, że scena w *Przygodach m. Jarząbka* jest zbyt jaskrawą. Gdyby nawet chłopi byli tak dzicy, to nauczyciel nie byłby tak potulnym.

L. Jeżeli Pan nie podpisuje listu, okazuje nam brak zaufania, skądże my je poczerpnąć mamy dla uwierzenia Pańskiej skardze?

Pessymiście. Daleko prościej zadowolniłby Pan swą ciekawość, przejrzawszy odnośne numery w roczniku *Prawdy*. Streszczać polemiki oddalonej nie możemy.

Ma—a P. Przekład dobry, ale niedość gładki. Rażą w nim głównie sztuczne wstawki dla rytmu i rymu, odbierające wierszom płynność i naturalność biegu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Student Uniwersytetu poszukuje lekcyi lub odpowiedniego zajęcia. Wiadomość w Administracyi PRAWDY.

Medal zasługi, Kraków 1887 r. II wydanie broszurki z ilustracyami.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

GWARANCJA 15-O LETNIA

EXSICCATOR

PEWNY ŚRODEK

Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inż. G. Ritter.

39 Królewska 39

POSZUKUJĘ AGENTÓW

Uwaga. Wynalazku mego **nie należy** porównywać z reklamowanemi w ostatnich czasach smołami (gudronit).

Wydawnictwa „Prawdy.“

1) **J. Brandes: Główne prądy literatury XIX w.**
 Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
 „ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50
 „ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . . . „ 1 „ 50
 „ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

2) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

3) L. Liard: **Logika** . . . . . . „ 1

4) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.
 Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.
 Cena . . . . rs. 3
 UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

5) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**
 Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.
 Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
 „ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

6) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne:** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.
 Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.
 Cena . . . . rs. 4 k. —
 „ dla abonentów *Prawdy* . 3 „ —
 z przesyłką pocztową „ 3 „ 50
 Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

7) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

8) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

9) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

10) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

11) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

12) — **Niewinni**, dramat w 3 aktach kop. 80 z przesyłką rs. 1

13) Dr Azam: **Charakter w zdrowiu i w chorobie** . . . . rs. 1

14) N. Hirszband: **Byron** w urywkach rs. 1.20, z przesyłką rs. 1 kop. 25

Dla czytelników gazet politycznych

Wyszło z druku i jest do nabycia dzieło prof. A. OKOLSKIEGO

Ustrój Państw Europejskich

i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Cena rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 30.

K. LEWALD

HISTORYA XIX w.

od r. 1800 do 1888.

stronic 634

Cena rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 kop. 60.

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr: Autorki Polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Kramsztyk Stanisław: O postaci i ciężarze ziemi, str. 93, kop. 60.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Szkice i Obrazki, tomów **cztery** z portretem autora. Cena rs. 5. W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław: Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno społeczne, str. 66, kop. 60.

Spencer Herbert: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310, rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274. Cena rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Августа 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.